

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI

Warszawa, dnia 28 lutego 1954 r.

Nr 9 (447)

W NUMERZE:

MIECZYSLAW CZAJA — Dobrze spełniony obowiązek. ANTONINA HANDEL — Naprawiony błąd. KRYSZYNA NADROWSKA — Los gromady w naszych rękach. TEOFIL KOWALCZYK — Kleśka młynarza. JOZEF TOKARCZYK — Dlaczego „Zielone gałęzie”. MONIKA WARNEŃSKA — „Mazowsze” na codzień. FRANCISZEK SNIEG — Dlaczego jest źle z czytelnictwem w naszych PGR-ach? JOZEF PODGORCZYŃSKI — Biblioteka miejska a wieś. PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI — W powiecie końskim



Mal. M. Naubandian

W pierwszą rocznicę zgonu JÓZEFA STALINA

LESZEK MECH

KOMUNIKATY

Opaleni pyłem węglowym
Przed zjazdem słuchali komunikatu.
Niejeden schylił niżej głowę
I lzy pięścią rozgniatł.

Innym ból usta zakneblował,
Serca jak kroplę wrzącej stali.
A wszyscy na te dwa słowa
— Żył będzie, — jak na uśmiech czekali.

Nie czuli wiatru. Nie czuli mrozu.
Oddech parował z ust.
A komunikat mówił — gorzej —
I ból jak pożar rósł.

Stygła w manierkach ciepła kawa,
Górnicy zapomnieli o niej.
W domu po pracy radio nastawiał,
Na gałce drżały mu dłonie.

Matka w ten wieczór dzieci przed snem
Całowała dłużej i mocniej.

I pomarszczoną twarz boleśnie
Miał siwiejący przy głośniku ojciec.
W chodniku nocna zmiana przy świrach.
Szóstego marca o świcie
Przyniósł ostatni komunikat sztygar:
— Józef Stalin zakończył życie. —

Przygasły lampy. Milczał korytarz,
Czasem węgiel zasyczał i zgaśł.
Tylko usta powtarzały komunikat,
Tylko piersi rozrywał płacz.

Pod powieką leż nie ukrywał
Z pionierskiego zaciągu rękawiczki,
Z bólu skronią do kolby przywarł,
Dłonie kruszą odłamki węgla.

I tak trwali niemi, milczący,
I powoli prostowali plecy —
Usłyszeli jak bije gorące
Jego serce w sprawach ludzkich.

O KONFERENCJI BERLIŃSKIEJ

JAN DĄB-KOCIOL

Przebyta droga...

Z radości mocniej zabili nasze serca, gdy dowiedzieliśmy się w Łabędzowie, że nareszcie opinii publicznej musiały się zgodzić na odbycie konferencji czterech wielkich mocarstw. Dwa punkty konferencji szczególnie interesowały nas, chłopów pracujących Ziemi Mazursko-Warmińskiej: sprawa pokoju i redukcji zbrojeń oraz sprawa zjednoczenia pokojowych, demokratycznych Niemiec.

Dla nas chłopów wydawało się z początku, że to sprawa prosta. Bo jeśli weźmiemy pod uwagę co Niemcy hitlerowskie zostawiły po II wojnie światowej w każdym kraju, gdzie wderli się ze swą armią „gestapo” i obozami śmierci — to koniecznie musimy dążyć do stworzenia Niemiec nowych, demokratycznych, miłujących pokój.

Szczególnie nas, chłopów z ziem odzyskanych, ta sprawa interesuje, bo wiemy o dążeniach niektórych neo-hitlerowskich kacyków z rządu bońskiego do odebrania nam przastarych ziem piastowskich, a więc pozbawienia nas obojczych ziem, którą uprawiamy i kochamy. Gdy tylko Armia Czerwona i Odrodzone Wojsko Polskie wyzwoliły te tereny przysłaliśmy tutaj z różnych stron Polski, biedniacy, fonnale — na zniszczone gospodarki, na zachwaszczony pola. A teraz osiągamy coraz to lepsze plony. Już 10 lat gospodarzimy — z każdym rokiem lepiej i wydajniej.

Z tych to powodów chłopci w Łabędzowie, jak też w całej gminie, pilnie czytali prasę i z uwagą słuchali komentarzy radiowych Edmunda Osmańczyka, który wszechstronnie omawiał każde posiedzenie berlińskie.

Po wysłuchaniu komentarza wyrażała się żywa, sąsiedzka dyskusja. Wszyscy pamiętamy dobrze, co się u nas działo podczas wojny światowej. Niektórzy potracili swe rodziny, ojcowie, dzieci, bliscy, znajomych. Widzieli kraj zniszczony ogniem i żelazem. Dlatego ludzie żywią do hitlerowskich Niemiec wielką nienawiść. Toteż kiedy dochodziło do dyskusji o zjednoczeniu, że ministrowie zachodni, a szczególnie Dulles, chcą z Niemcami, na ich modłę zjednoczonymi, podpisać układ wojskowy właśnie przeciw nam i Związkowi Radzieckiemu, wszystkich nas ogarnęła „szewska pasja”. Jeśli ktokolwiek wątpił w agresywne zamiary rządów państw imperialistycznych, to teraz widział jasno, że się grubo omylił.

Mój sąsiad Złotucha powiada:
— Wiesz, Kosobucki, dotychczas

człowiek różnie myślał, bo się powoli zapomniała krzywda wyrządzona nam przez faszystów i ich wspólników. Myślało się nieraz, że ci z Zachodu też chcą pokoju. Przekalkulowawszy jednak w swej starej głowie, doszedłem do wniosku, że zachodni dygnitarze chcą mieć Niemcy uzbrojone do wojny, aby znowu „poszczuć” je na nas. Ale w Berlinie to się im noga powinęła. Jestem, chociaż to może mało znaczy, za propozycjami Mołotowa.

— Kochany Złotucha — mówię mu — to dużo znaczy! Bardzo dużo! Taki jest głos całego narodu polskiego, narodu radzieckiego, narodów wszystkich krajów. A co najważniejsze — taki jest głos narodu niemieckiego. Słyszeliście głosy z manifestacji wszystkich berlińczyków w dn. 18 lutego. Żądają oni demokratycznych i pokojowych Niemiec bez Wehrmachtu i imperialistycznej polityki „Drang nach Osten”!

Posypały się wspomnienia z lat okupacji, ciężkie i żałosne, ale mobilizujące do walki o pokój.

Wspominano, jak to brutalni młoci z Hitlerjugend poniewierali siwiuteńkiego profesora J., nazywając go ordynarnie i bijąc go tylko za to, że był Polakiem.

Ktoś opowiedział, jak to 300 ludzi spędzono do kościoła, obłano naftą i podpalono. Tak likwidowali hitlerowcy chłopów.

Złotucha pamięta dobrze, jak hitlerowcy zabrali mu ostatnią krowę, a kiedy błagał z rodziną o litość lejtant zdzisił go kilka razy grubym nóżem po starych plecach i kopnął jęć po amerykańsku, aż chłop się wywrócił.

Inny sąsiad, Świątek, był w obozie, widział coś straszniejszego od biblijnego piekła. Smoły i diabłów nie było, ale były piece, cyklony, zastrzyki, wszy, — i straszne, nieludzkie postacie „kapo”.

— A Amerykanów i Anglików w obozie nie było — dodaje Świątek. — Może dlatego nie mieli okazji przekonać się, czym to „grozi”.

Z wielkim uznaniem wszyscy słuchali głosu ministra Mołotowa. To był też nasz głos — głos chłopów polskich, wsi polskiej, całego naszego narodu. Pracując coraz lepiej i wydajniej, budując ojczyznę wolną, związaną sojuszem z bratnią Niemiecką Republiką Demokratyczną, walcząc o te same cele — nie pozwolimy na odbudowanie Niemiec według planów Edena, dyktowanych przez mocodawców z Wall Street. Niedoczekanie wasze, panowie imperialiści!

WACŁAW KOSOBUCKI
Łabędzowo, pow. Bartoszyce



WIEŚ nasza należy do producentów. Chłopi gospodarują coraz lepiej, chciwi są na wszystkie nowe sposoby, rozumieją, że nie tylko żyto i ziemniaki trzeba uprawiać. Są u nas więc plantacje tytoniu (plan sadzi się buraków cukrowych, oleistych, a także i konopi). Ludzie czytają książki, gazety — listonosz zawsze przywozi ich sporą naręcz. Robimy tu różne krzyżówki miczulinowskie, a ja już najwięcej. Przychodzą listy z innych gromad z prośbą, aby opisać nasze doświadczenia. Ot, teraz mam odpowiedzieć na 50 listów!

Spokój u nas, dostatek coraz większy. Nowe metody gospodarowania przynoszą niemały pożytek samym rolnikom i państwu.

Ale właśnie dlatego, że jesteśmy zadowoleni, że każdy widzi o ile jest obecnie lepiej niż za sanacji, śledzimy uważnie co się dzieje w polityce. Każdemu chłopu zależy na zachowaniu pokoju. Pamiętamy o statni wojnie. U nas co prawda faszysty spalili tylko trzy chałupy, ale gdzie indziej było gorzej. Chciałoby w takim Ksawerowie, który SS-mani doszczętnie „spacyfikowali”.

Nie chcemy nowej wojny, ruin i zgłiszcz. Chcemy przyjaźni ze wszystkimi narodami. Cieszy nas to, co dzieje się w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie władzę w swoje ręce wziął lud.

Ostatnie przemówienia ministra Mołotowa na konferencji berlińskiej cytowała chyba cała wieś. Rozmawialiśmy później na ten temat: ja, Wacław Kazanowski, Józef Grabowski (sołtyś), Jan Kołtun (przewodniczący ZSCh), Helena Wojtaszkowa (nauczycielka) i wielu jeszcze sąsiadów.

Godziliśmy się wszyscy: Niemcy muszą być zjednoczone. Ale nie tak, jak chcą zachodni ministrowie. Bez żadnej komedii wyborczej, podczas której wolność wyboru będą mieli tylko odwetowcy i podżegacze wojenni.

Niemcy muszą być zjednoczone, tak, aby już nie zagrażały pokojowi, a przyczyniały się do jego umocnienia.

Chłopi rozumieją to dobrze. Wiemy, że demokratyczne Niemcy przyczynią się do utrwalenia pokoju.

PAWEŁ KOŁTUN
Wolawce, pow. Chełm Lubelski

ERNEST BRYLL

DO SPEAKERA MOSKIEWSKIEJ RADIOSTACJI

Usta były spięte uwagą
Ktoś po cichu od stołu powstał,
Po antenach biegle sygnały
— Wniamanie zdies' gawarit Maskwa...

Głos przelciał wicherem po myślach
W pustce oczu jak werbel walił
— Towarzysze!
— Dziś
— O dziewiętej...
— Zmarł na Kremlu towarzysz Stalin!

Głos speakera łamał się łzami,
Łkaniem trząsł się na ścianie głośnik,
Owinęły żalobne słowa
Smukłe maszty moskiewskich rozgłośniań..

Towarzyszu speakerze!
Tyś mówił
Kiedy Moskwę szturmował faszyzm
Towarzyszu!

Tyś mówił a słowa
Były dźwięczne jak strzały katusz.
Towarzyszu!
W brzmienie twego głosu
Gdzieś na tyłach wroga zasluchani
Przy polowym radiu partyzanci
Nie słyszeli byś dławili się łkaniem.

Czemu każde słowo dudni głucho
I lawina w serce się stacza?
Jak ulica
Sciska
Pięści bruku
Zwieram dłonie, towarzyszu,
I płaczę.

Twoje gardło gładą nabrzmiało
Głos twój z skurczem się zwał. Uparty.
Towarzyszu!
W rytmie słów twoich
Pójdzie nowy zaciąg do Partii.

Myślmy teraz o tym, jak zwiększyć i uruchomić rezerwy, które tkwią na wsi, jak pomóc w przebudowie naszego życia. Trudno jest podać na to generalną receptę, bo takiej nie ma, ale wskazać można na dwa zakresy, w których musimy ustokrotnie nasze wysiłki: uprawę zbóż i hodowlę.

Trwają jeszcze co prawda silne mrozy, lecz wiosna zbliża się szybkimi krokami. A tegoroczna wiosna musi być inna niż poprzednie. Trzeba przed wiosenną akcją siewną przedyskutować w gromadzie sposoby zagospodarowania najmniejszego nawet kawałka ziemi — co pozwoli na powiększenie plonów i zwiększenie hodowli. Trzeba, aby pracami gromad kierowały komitety gromadzkie składające się z producentów chłopów i chłopek, mistrzów wysokich urodzajów i producentów hodowli. Producenty chłopi powinni ogarnąć wokół siebie wszystkich nieświadomych, opóźniających się — i pociągnąć ich za sobą. Chłop polski jest ambitny, chciałby zdobyć jak najwyższe plony, ale nie zawsze wie, jakimi metodami pracować.

Mistrzowie urodzajów i hodowli uzyskali już poważny zasób doświadczeń; niechże więc pociągną za sobą wszystkich, którzy jeszcze pozostają w tyle. Uświadomienie naszej wsi sięga już bardzo głęboko.

Nie ma gromady czy gminy, żeby nie było producentów rolnictwa i hodowli. Pragniemy, aby w szeregach aktywistów wiejskich nie zabrakło kobiet, aby pomagały one swoim przykładem wątpliwym niejednokrotnie sąsiadom, aby kierowały szczęśliwym życiem swojej wsi.

Minister Rolnictwa Jan Dąb-Kociol
(Fragmenty z przemówienia Ministra Rolnictwa na Krajowym Zjeździe Pracujących Hodowców)

NOWE KADRY IDĄ NA RADZIECKĄ WIEŚ

POWRÓT

WZWIAZKU Radzieckim trwa dziś olbrzymi, masowy ruch przechodzenia kadr inteligencji na wieś. Wywołała go uchwała wrześniowego Plenum Komitetu Centralnego KPZR, zalecająca skierowanie na wieś do końca 1953 roku fachowców z przygotowaniami technicznymi i rolniczymi, pracujących dotychczas w przedsiębiorstwach przemysłowych i innych gałęziach gospodarki.

W kilka dni po ogłoszeniu tej uchwały do komitetów partyjnych wszystkich instancji zaczęły napływać setki zgłoszeń i listów od ludzi pragnących pracować na wsi. Sprawa kadr dla wsi objęta wszystkie instytucje aparatu państwowego, wszystkie instancje partyjne, wszystkie organizacje społeczne, dotarła do każdego człowieka, stała się sprawą ogólnonarodową.

W ciągu 36 lat istnienia socjalistycznego państwa z każdym rokiem maleje granica między miastem a wsią, między gospodarką rolną a przemysłem. W ciągu 36 lat wieś urosła w gospodarczo i społecznie organizm państwa socjalistycznego i ściśle się z nim zespoliła.

Dziś przed wsią radziecką postawiono nowe zadania: walkę o jeszcze wyższy poziom gospodarki rolnej. Walka ta — w sytuacji, gdy wieś posiada tę samą bazę społeczno-gospodarczą co miasto: bazę socjalizmu — stała się ostatnim etapem innego zadania ogólnospołecznego, mianowicie walki o likwidację różnic między miastem a wsią. W walce tej wieś nie jest pozostawiona sama sobie. Staje wraz z nią cały naród.

Warto przejrzeć w prasie radzieckiej notatki, informacje i listy czytelników, mówiące o sprawie nowych kadr dla wsi. Dowiemy się z nich o rzeczach, które z punktu widzenia osobistych interesów jednostki wydawać się kiedyś mogły — po prostu niemożliwe. Oto pracownicy ministerstwa, ludzie z wysokimi kwalifikacjami, zadowoleni w dużych ośrodkach miejskich porzucają wszystko i wyjeżdżają do pracy na wieś. Oto młodzież uniwersytecka Moskwy po ukończeniu studiów jedzie do wsi na Dalekim Wschodzie. Wyjeżdżają na wieś inżynierowie, lekarze, ekonomiści — ludzie, którzy często niewiele mieli ze wsią wspólnego. Z czego to wypływa? Przecież sprawa przeniesienia się kilkuset tysięcy ludzi z miasta na wieś — to już cały ruch społeczny.

Sprawa ma oczywiście dwie strony: stronę obiektywną i subiektywną. Strona obiektywna — to konkretne istniejące warunki, które spowodowały, że partia — móż socjalistycznego społeczeństwa — pouszyła w interesie tego społeczeństwa zgodną z istniejącymi warunkami decyzję. Strona subiektywna — to po prostu to, jak poszczególne ludzie radziecy przymerzyli apel i wskazania partii do swego osobistego życia i jakie wyciągnęli stąd wnioski. Oczywiście, że dla niejednego decyzja nie była lekka — człowiek na ogół nie lubi nagle zmiany warunków — ale przecież setki tysięcy ludzi decyzyje te podjęli!

Oczywiście dzisiejsza wieś radziecka potrafi zapewnić człowiekowi najdogodniejsze warunki życia i pracy. Fachowcy przyjeżdżający na wieś radziecką otrzymują na ogół mieszkanie wyposażone w elektryczność, a nierzadko w wodę bieżącą i działki przyzgodowe do własnej dyspozycji. Nie czują się też bynajmniej oderwani od życia kulturalnego kraju. Biblioteki, kluby, kina stałe, lub objazdowe, zespoły artystyczne — wszystko to sprawia, że życie kulturalne wsi radzieckiej nie różni się zbyt od życia miast.

Fachowcy przyjeżdżający do pracy na wsi wiedzą, że tu właśnie bardziej niż gdzie indziej dotąd, mogą wykazać swą wiedzę i umiejętności. Krótko mówiąc: mają pole do popisu. Wieś przedstawia dziś dla nich specjalną atrakcyjność, atrakcyjność trudną.

Wystąpił miast przywołał wsi rzetelną wiedzę rolniczą i techniczną, naukę systematyczną i planową pracę, wysoki stopień świadomości politycznej, umiejętność organizowania pracy tak by dawała ona jak najlepsze wyniki przy równoczesnym oszczędzaniu sił ludzkich, krótko mówiąc to, co określa się terminem: przemysłowa kultura produkcji. A to właśnie jest czynnikiem niezbędnym dla wykonania wysokich zadań postawionych przed wsią radziecką przez rząd i partię — i to właśnie w niezbity dalekiej przyszłości zdecydowanie o całkowitej likwidacji różnic między miastem i wsią.

Zygmunt Koczorowski

ZMIERZCH gestniał z minuty na minutę, powietrze było mgliste i wilgotne. Morozow zmienił światła reflektorów i zmienił bieg. Jechali teraz znacznie wolniej, droga rozwidlała się w kilku miejscach, co jakiś czas wskakiwał ostry zakręt. Dopiero na szesnastym kilometrze przed Siewierskiem „pięćsetka” Morozowa znów nabrała pełnego oddechu. Ten odcinek drogi — do samej MTS — był prosty, jak strzała. Stanęli przed biurem akurat w tej chwili, kiedy uderzył grad.

— Ot, psia pogoda — odezwał się pierwszy Wiktor Pietrowicz Własow, zeskakując z tylnego siedelka wprost na ganek.

Mikołaj Siergiejewicz Morozow nie od razu odpowiedział. Odstawiwszy motor do garażu, pośpiesznie zawrócił i dopiero teraz jakby przypomniał sobie uwagę głównego agronoma.

— Gorzej, niż psia pogoda — rzucił ponurym głosem — i urwał.

Kiedy znaleźli się w gabinecie Morozow rozwinął swoją myśl:

— Plucha, pal szesć. Nic by nam nie zaszkodziła, gdyby — uważasz — z melioracją było wszystko w porządku. Ale słyszałeś co powie-

ny sporo nowej ziemi pod uprawę — to jedna korzyść. Zmniejszenie starych, podmokłych gruntów dałoby dalszą zwyzkę plonu — li-czę ostrożnie: w zbożu o 4 kwintale, w ziemniakach o 20 kwintali. To druga korzyść. Mogę ci, zaraz podać orientacyjnie, ile można w ten sposób uzyskać w skali rejonu.

Ale Morozow bynajmniej nie był tym wylizaniem zachwycony. Na jego wysokim czole zarysowała się jeszcze mocniej pionowa bruzda. Przeszedł kilka kroków wzdłuż pokoju i zatrzymał się przed ścianą, na której wisiała mapa rejonu.

— Twój rachunek, Pietrowicz, na pewno jest prawidłowy. Tylko po co to mi nie agituje za melioracją? Czy ja jestem jej przeciwny?

— Mikołaju Siergiejewiczu! — obruszył się na dobre główny agronom. — Jesteś dyrektorem MTS, masz piętnaście lat praktyki. Kto mógłby o tobie powiedzieć, że nie doceniasz melioracji?

— Chodzi więc o to — Morozow pominął ostatnią uwagę — żebyś uwzględnił w swoim rachunku i ten „drobiazg” — na ostatnim słowie Morozow położył specjalny akcent — czy mamy u siebie tylu

ośmiu kolchozów. Chętnych nie brakowało. Ale bez doświadczonych mechanizatorów i nowoczesnego sprzętu nie można przecież ani osuszyć mokradeł w skali całego rejonu, ani przeskoczyć ludzi. Na to trzeba by kilku lat, nie jednej jesieni. Mikołaj Siergiejewicz Morozow ani myślał jednak ustępować. Zadzwonił dwa razy do obkomu, posprzedał się nawet z dyżurnym instruktorem. Zapomniał o siewierskiej MTS, towarzyszu, czy jak? Ani jednego mechanizatora dotąd nam nie daliście. A czas, rozumiecie szybszy niż zając.

Instruktor obwodowego komitetu odpowiadał uparcie to samo: „Pamiętamy o was, towarzyszu Morozow. Dostaniecie z powrotem najlepszego mechanizatora. Wasiliew do was przyjedzie. Powinien już awizować swój przyjazd”.

Jednakże Aleksander Afanasjewicz Wasiliew, wychowanek siewierskiej MTS, który przed pięciu laty pojechał do Leningradu, gdzie kształcił się, pracując jednocześnie w przemyśle, — mimo zapewnień obkomu — nie dawał żadnego znaku o sobie.

Ktoregoś dnia, kiedy Morozow siedział u siebie w gabinecie pogrążony w planach wiosennych siewów, do pokoju wszedł barczysty mężczyzna w średnim wieku. Odstawiwszy na bok skózaną walizkę zwrócił się bez pośpiechu do Morozowa.

— Dzień dobry, towarzyszu dyrektorsze! Jestem Anatol Krepkin. Siergiejewicz Morozow spojrzał uważnie na przybysza, nazwisko nie mówiło.

— Anatol Krepkin? Proszę siedzieć. Prawdę mówiąc nie przypominam sobie...

— Zgadza się. Jestem pierwszy raz w siewierskiej MTS, nigdy tutaj nie byłem. Ale mój przyjaciel Aleksander Afanasjewicz Wasiliew z tych stron rodem...

— Aa... — Morozow poderwał się z krzesła — wy od Wasiliewa?

— Z jego ramienia — odpowiedział z godnością Krepkin. — Jeszcze dwóch mechanizatorów przybędzie do was pojutrze, też z jego ramienia — można powiedzieć. Jeśli i mnie zechcecie doliczyć — macie trzech. A Wasiliew — czwarto. Oczekujcie go dzisiaj w cztery. Teraz właśnie — Anatol Krepkin sięgnął do kieszeni po zegarek — Aleksander Afanasjewicz Wasiliew kończy w 200 procentach nasz plan produkcyjny na pierwszy kwartał. O godzinie 12 w południe przekaże dyrekcyi ostatek można powiedzieć — zapięta na wszystkie śrubki — ponadplanową kopaczkę...

W cztery dni później 28 brygad melioracyjnych pod kierunkiem mechanizatora technika Wasiliewa rozpoczęło fachowe przeszkolenie, aby — gdy tylko nadejdą pierwsze dni przedwiosnia — hektar po hektarze przekształcać nieużytki w żyzną glebę.

R. F.



Mal. Renato Guttuso

RENE ANDRE

SOJUSZ KRZEPNIE W WALCE

Neapol, w lutym 1954

W GRUDNIU ub. r. znowu miały miejsce fakty zajmowania odlogów przez bezrolnych chłopów Kalabrii. Od La Castella do Cutro braccianti (bezrolni) wyszli ze swych nor, aby zająć i uprawić ziemię obszarczą.

„Sacheggia” — bunt chłopów — nie są w Kalabrii nowiną. Od z górą wieku co parę lat bezrolni wychodzą na pola, aby je zająć i uprawić. Jednak potęga panów feudalnych wydawała się niezłomna. Po latach zmagani chłopów kalabryjscy wyciągnęli naukę z krwawych doświadczeń: w pojedynkę nigdy nie będą mogli stawiać czoła obszarnikom; tylko zjednoczeni, tylko w oparciu o wspólną bazę produkcyjną i przy pomocy klasy robotniczej zdolają przeciwstawić się zjednoczonej sile reakcji: feudałom, policji, Watykanowi i amerykańskim likwidatorom niezależności ekonomicznej Włoch. W ten sposób narodziły się przed dwoma laty pierwsze we Włoszech spółdzielnie rolnicze — chłopski wkład w ogólnonarodową walkę o pokój, wolność i pracę.

Zdecydowana postawa mas chłopskich, prowadzonych i organizowanych przez klasę robotniczą zmusiła chrześcijańsko — demokratyczny rząd włoski do stosowania nowych metod walki. W tym celu powołano do życia SILA (Włoskie Towarzystwo Rolnicze), które „wywłaszcza” za olbrzymim odszkodowaniem baronów feudalnych południa. Ta rządowa „reforma rolna” — pozabawia ich jedynie najmniej urodzajnej ziemi, a równocześnie oddała do ich dyspozycji miliony lirów na dalszą walkę z masami ludowymi. Pozbawiony się kamien-

stych ugorów, baronowie Baracco, Galluccio i Berligieri zainkasowali sumy, sięgające 400 milionów lirów.

TRAKTORY

Z Isola Capo Rizzuto droga bieżąca długim szlakiem przez ziemie, siłą wyrwane feudalnym baronom, Włochów tej ziemi uprawiają indywidualni chłopci, reszta należy do kilku spółdzielni rolniczych, które — mimo nieustannych ataków rządu — zdołały nie tylko utrzymać się, ale i rozwinąć.

Pierwsze miesiące były dla spółdzielni niezmierne ciężkie. Brak ziarna siewnego, siły pociągowej i narzędzi stanowił — zdawało się — nieprzezwyciężone przeszkody. Z pomocą przyszedł zapoczątkowany przez partię komunistyczną ruch solidarności. Z całych Włoch napływały dary. Robotnicy Turynu i Mediolanu, Rzymu i Bolonii wysyłali do Isola Capo Rizzuto narzędzia rolnicze, ubranie i żywność. Metalowcy z Terni wyprodukowali w darze dla kalabryjskich chłopów pięć traktorów. Potem przyszedł najwspanialszy dar — maszyn rolniczych, ofiarowane włoskim chłopom przez chłopów radzieckich. Pierwsze w kraju spółdzielnie rolnicze przetrwały w ten sposób najgorszy okres, a ich osiągnięcia stanowią wzór dla wszystkich włoskich chłopów.

Mój przyjaciel, Marco z Crotone, opowiada o szukanach, jakie stosowali i nadal stosują feudałowie, aby zniszczyć dorobek „spółdzielni”.

W roku ubiegłym „nieznani sprawcy” usiłowali trzykrotnie zniszczyć zasiewy. Znany w okolicy „mafioso” (bandyta) Julio Leonardo podpalił nawet spółdzielnię zabudowaną. Na szczęście pożar udało się szybko ugasić. Ale, gdy chłopci zwrócili się do policji, by aresztowała podpalacza, — komisarz powiedział, że to nie jego sprawa. A Leonardo śmieje się tylko z chłopów.

Nie mu nie można zrobić, gdyż on pracuje dla barona Berlingieri — dodaje stary chłop, Paolo Bernari.

No, dobrze — pytam — a co właściwie robi SILA?

SILA, to instytucja baronów i dla baronów — odpowiada Marco. Rząd przeprowadził „reformę rolną”, dał SILA traktory, ale „rządowa ziemia” nadal leży odłogiem. A traktory SILA uprawiają za darmo ziemię obszarńską. Gdy spółdzielnie zwróciły się o wypozyczenie traktorów, SILA zażądała, tytułem dzierżawy, „tylko” 80 procent zbiorów. Zresztą SILA nie należy wcale do rządu włoskiego, lecz do grupy monopolistycznych towarzystw: „Fiat”, „Montecatini” i „Terni”. Rozumiecie teraz, dlaczego SILA nie chce pomagać chłopskim spółdzielniom?

WALKA TRWA

Walka włoskich mas ludowych przeciwko feudałom i reakcyjnemu rządowi nie ustaje ani na chwilę. Braccianti z Kalabrii wiedzą, że nie są osamotnieni w swej walce. Za nimi stoi klasa robotnicza Włoch i zahartowana w bojach Partia Komunistyczna. Jedność działania włoskich mas ludowych znalazła obecnie wyraz w masowych demonstracjach i strajkach. Ludzie pracy miast i wsi protestują w ten sposób przeciwko oddaniu przez reakcję władzy w ręce znienawidzonego policjanta — Scelby, domagają się poprawy warunków pracy i życia. Turyn i Mediolan, Genuea i Rzym, Kalabria i Kampania są od wielu dni świadkami tak potężnych demonstracji, jakich kraj nie przeżywał od czasów krwawej niedzieli w Modenie. Policja nie żałuje broni; leje się krew, padają trupy.

Nie odstrasza to narodu. 17 lutego rozpoczął się w całych Włoszech imponujący strajk dwóch milionów chłopów — dzierżawców, walczących m. in. o rewizję umów zbiorowych, narzuconych przez fałszywosty jeszcze w 1928 roku. Umów tych dotychczasowe rządy strzegły, jak oka w głowie.

Włoska klasa robotnicza i masy chłopskie zdecydowane są doprowadzić do utworzenia rządu prawdziwie demokratycznego. I walkę o taki rząd toczyć będą aż do zwycięstwa.

René André

ZBIGNIEW KLEJN

DO POKOJU — DROGĄ ROKOWAŃ

Kończąc kilka tygodni temu nasz komentarz do rozpoczynającej się właśnie konferencji berlińskiej zacytowałem wypowiedź znanego francuskiej dziennikarki burżuazyjnej, Geneviève Tabouis. Przechybiła wówczas w Berlinie publicystka już po kilku dniach obrad oświadczyła m. in., że konferencja zapoczątkuje serię rokowań międzynarodowych z udziałem Chińskiej Republiki Ludowej. Pogląd p. Tabouis, odbiegający od celowo szerzonego przez część prasy zachodniej pesymizmu, przytoczyliśmy jako dowód, że nawet wśród prasy burżuazyjnej istnieją ludzie trzeźwo oceniający sytuację międzynarodową oraz dostrzegający potęgę woli pokoju, ożywającej masy ludowe całego świata.

Końcowy komunikat konferencji wykazał, że dostrzegli to również zachodni ministrowie spraw zagranicznych. Konferencja przyniosła największy sukces właśnie w tym zagadnieniu, którego rozpatrywanie najbardziej starał się uniknąć p. Dulles oraz działający pod jego naciskiem pp. Eden i Bidault. Mimo prób niedopuszczenia do omawiania tego zagadnienia, mimo bezskutecznych usiłowań przerwania nad nim dyskusji, sprawa konferencji pięciu wielkich mocarstw dla rozpatrzenia możliwości zmniejszenia napięcia międzynarodowego stała na porządku dziennym do końca obrad. Zapowiedź więc zwolnienia do Genewy konferencji dla uregulowania kwestii koreańskiej i przywrócenia pokoju w Indochinach wykazuje, że wśród trzech ministrów zachodnich doszło do poważnych tarć. Między Dullesem, przysięgającym, że nigdy nie zasiądzie do wspólnego stołu z min. Czu En-Lai, a Dullesem, podpisującym zgodę na konferencję genewską, stały tygodnie ciężkich tłumaczeń min. Molotowa, ukazujących krajom zachodnim jedyną drogę rozwiązania problemów międzynarodowych — drogę rokowań. Trafiło to na pewno do przekonania min. Edena, którego kraj właśnie w czasie konferencji poważnie rozszerzył swój handel z krajami obozu pokoju. Jeszcze bardziej przemawiało to do rozumu min. Bidault, od lat nie umiejącego znaleźć wyjścia z impasu, w jaki wpędził rząd francuski wojną z Wietnamską Republiką Demokratyczną. Właśnie w Berlinie otrzymał on zapewne poniższą wypowiedź francuskiego głównodowodzącego w Indochinach, gen. Navarre, wysłanego tam przed rokiem dla zwycięskiego i szybkiego zakończenia wojny: „nawet w roku przyszłym nie będziemy mogli zadać przeciwnikowi decydującego ciosu”.

Coraz trudniej było przeciwwstawiać się logicznym wnioskowi delegacji radzieckiej. Narody bowiem bacznie obserwowały obrady Francuski dziennik burżuazyjny „Monde” pisał więc, że na decyzję ministrów zachodnich wpłynęła niewątpliwie wyraźna wola Związku Radzieckiego stworzenia atmosfery odprężenia, rozwój francuskiego ruchu na rzecz pokoju w Indochinach oraz — jak pisał — coraz bardziej wyczuwalna u niektórych przewodniczących amerykańskich tendencja do zrezygnowania z usiłowań zmiany istniejącej w Azji sytuacji. Rezygnacja ta — dodajmy od nas — wywołana została świadomością potęgi Chin Ludowych i nieodwracalności wielkich przemian społecznych, jakie nastąpiły w ostatnich latach w południowo — wschodniej części Azji. Stwierdza to wyraźnie angielski dziennik prawnicowy „Star” w artykule pt.: „Wielki krok naprzód”: „Jest niewątpliwie osiągnięciem nakłonienie Dullesa do uczestniczenia wraz z czerwonymi Chinami w konferencji genewskiej”. Komunistyczny rząd Chin jest niewątpliwie jedynym rządem, który powinien wziąć udział w takich dyskusjach i ten twardy fakt został w końcu wzięty pod uwagę w realistycznym sposobie. A „konserwatywny” „Times” dodaje: „Rosja niewątpliwie przekonała mocarstwa zachodnie o konieczności... przyjęcia Chin do rzędu wielkich mocarstw”.

Innym dowodem olbrzymiego nacisku opinii publicznej na ber-

lińskie sale obrad jest zgoda zachodnich ministrów na radzieckie propozycje kontynuowania wymiany poglądów w celu przybliżenia się do pomyślnego rozwiązania problemów rozbrojenia lub co najmniej znacznej redukcji zbrojeń.

Nie doszło do porozumienia w sprawie Niemiec i Austrii. Wielkie monopole, którym potrzebny jest w środku Europy teren dla zamieszek i prowokacji, uniemożliwiły przyjęcie doskonale opracowanych wniosków radzieckich w sprawie zjednoczenia Niemiec i zawarcia traktatu państwowego z Austrią. Niepoślednią rolę odgrywali tu hitlerowcy z Bonn, utrzymujący w czasie obrad stały kontakt z ministrami zachodnimi. Dla nikogo też nie ulega wątpliwości, w czym imieniu występowali ci ministrowie w dyskusji nad sprawą niemiecką po znajomości pochwał Adenauera, że „trzej ministrowie zachodni” wymienieni reprezentowali na konferencji interesy Niemiec (neohitlerowskich — ZK) Zaden niemiecki minister spraw zagranicznych nie mógłby w Berlinie lepiej postępować.

Był taki moment w czasie obrad, kiedy zupełnie bez ostentacji, ujawniła się w całej swej ohydzie amerykańska polityka remilitaryzacji Niemiec i stworzenia z Wehrmachtu hegemonia zachodniej Europy w ramach tzw. „Europejskiej Wspólnoty Obronnej”. Nastąpiło to w chwili, gdy delegacja rządu austriackiego była — jak stwierdza to zgodnie prasa zachodnia — skłonna wyjść naprzeciw radzieckim propozycjom w sprawie traktatu państwowego. Przedstawiciel prasowy delegacji austriackiej, Kornhuber oświadczył wręcz, że „Molotow i Figl (austriacki minister spraw zagranicznych) mogliby rozwiązać cały problem austriacki w ciągu jednej godziny”. Wywołało to popłoch w Bonn. Jak podaje angielski tygodnik „New Statesman and Nation”: „Dulles wywarł nacisk na Figla, oświadczała, że jakkolwiek kuszące jest podpisanie traktatu austriackiego, osiągnięcie takiego wyniku na konferencji byłoby poważnym kłopotem dla Adenauera i mogłoby zagrozić szansom ratyfikowania układu o EVG („Europejskiej Wspólnocie Obronnej”).

Czy oznacza to, że narody istotnie dadzą się wprowadzić w błąd amerykańsko-hitlerowskim matactwem? Odpowiedzi udzieli niespodziewanie prawicowy dziennik francuski „France Soir”. Gazeta zmuszona była stwierdzić dostownie, że Molotow „osiągnął... najważniejsze cele: doprowadził do pewnego odprężenia międzynarodowego i zmiany atmosfery dyplomatycznej, uzyskując w ten sposób rozszerzenie handlu Wschód — Zachód”. Rozpoczął serię rozmów i konferencji międzynarodowych, które powinny między innymi doprowadzić do zabicia szans ratyfikacji armii europejskiej i do skreślenia zbrojeń niemieckich”. (podkreślenie nasze — red.).

Odpowiedź daje również sam min. Molotow oświadczaając po zamknięciu obrad: „Zadania, których na obecnej konferencji nie rozwiązano, nie zostały zdjęte z porządku dziennego. Powinniśmy kontynuować nasze wysiłki i dążyć jeszcze bardziej wytrwale do rozwiązania tych zadań”. Droga do rokowań nie została bowiem zamknięta, przeciwnie — otwarta jest szerzej, niż kiedykolwiek przedtem.

Tak więc konferencja berlińska, ubrew marzeniem wszelkich reakcyjności, przyniosła pierwsze pomyślne wyniki, wyniki, które napawają nadzieją narody świata. Milionowe masy pragnęły, by pertraktacje między wielkimi mocarstwami doszły do skutku. To się stało. Milionowe masy pragnęły, by na tej drodze nastąpiło złagodzenie napięcia w stosunkach międzynarodowych. Udało się to częściowo osiągnąć.

Od tego, jak wielkie będzie pragnienie pokoju, jak wielki będzie w tym kierunku nacisk mas na całym świecie, zależy utrwalenie i poszerzenie ich sukcesów, zależy przyszłość świata.

Zbigniew Klejn

NOWOŚĆ

Ukazał się ciekawy zbiór wspomnień żołnierskich pt.

„Słowa Żołnierskie”

Wstęp J. Przymanowskiego

Stron 380 21 18,70

Nakładem

WYDAWNICTWA MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

„Piszę o książkę, która dała mi najwięcej wzruszeń i korzyści“ (Z wypowiedzi nadesłanych na konkurs czytelniczy Polskiego Radia i „Wsi“)

JADWIGA DEPTA

Podstępny kulałów i rola kobiety

NIE wiem, którą z książek pierwsza wzbudziła we mnie miłość do mowy ojczystej. Zdało się, że było to „Dzieje Śląska”. Czytałam je, kiedy jeszcze nie chodziłam do niemieckiej szkoły. Później przeżywałam najdłuższe dni w życiu z bohaterami Trylogii; po przeczytaniu „Krzyżaków” kłóciłam się z niemieckim nauczycielem, gdy mówił o roli Krzyżaków w dziejach naszego narodu. Zawsze i wszędzie towarzyszyły mi książki, zastępowały mi rodzinę i przyjaciół, były po prostu moim światem. Wypadało mi czytać, gdy rodzina była w domu, ale nie widziałam dzieci, nie słyszałam ich głosu. Wtedy czytałam, a potem odczuwałam ich obecność. Wypadało mi czytać, gdy rodzina była w domu, ale nie widziałam dzieci, nie słyszałam ich głosu. Wtedy czytałam, a potem odczuwałam ich obecność.

Teraz już trzeci rok pracuję z zespoloną czytelnicy i niejedną książkę wniosła coś nowego do naszej gromady. Pod wpływem książek rolniczych poprawiły się chów bydła, tuczenie świń, zwiększyła się uprawa pszenicy jarej, buraków cukrowych, końskiego zęba i kukurydzy, której dawniej u nas nie znano. „Kawaler złoty gwiazdy” Babajewskiego pomógł niejednemu z naszych chłopów przekształcić się z żołnierza frontowego w budowniczego socjalizmu. „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego mnie samej w ciężkiej chorobie (początek gruźlicy) dodała otuchy i nadziei, że silna wola wszystko może przezwyciężyć.

Dziś jednak chciałabym napisać parę słów o książce, która najpierw mnie, a później cały nasz zespół czytelniczy niezmiennie zainteresowała. To „Most nad urwiskiem” — Olchy. Dwa problemy nas tu zastanawiały: podstęp kulałów i rola kobiety w Polsce Ludowej. Nad machinacjami kulałów zastanawiałam się już w „Zorąnym ugorze” Szołchowa i w „Ludziach z za rzeki” Bartelskiego. W „Moście nad urwiskiem” widziałam szczególnie silnie ich chytrych i podstępnych przy zaopatrywaniu sklepu w nieodpowiedni towar, przy wciąganiu średniaków w swoje machinacje, przy oddziaływaniu na soltysa, demoralizowaniu młodzieży itp. Po przedyskutowaniu tej książki i u nas się dużo w naszej świetlicy i spółdzielni GS zmieniło — i mamy nadzieję, że się jeszcze więcej zmieni, bo chłopcy się szykują na wyjazd do zwiędzenia spółdzielni produkcyjnych w naszym powiecie.

Ale jeszcze więcej zainteresowałam się życiem Agnieszki. Agnieszka była biedna, wyznaczono ją w czasie wojny na wyjazd do Niemiec. Młoda, nieświadoma dziewczyna zaufała chłopcu ze swej wioski, a ten wykorzystuje ją i porzuca. Po powrocie do kraju ani wspomni o niej lub dziecku. Agnieszka zaś dopiero po powrocie do Polski uświadomiła sobie, że każde dziecko — to skarb dla narodu, że to już nie Polska sanacyjna, gdzie każde dziecko oznacza mniej chleba, a więcej trosk dla matki. Agnieszka zdobywa w Polsce Ludowej zawód, co by w Polsce sanacyjnej w ogóle nie było możliwe — zostalaby biedną wyrobnicą, jak jej matka. Poznajemy w tej książce troskę Państwa Ludowego o każdego swego obywatela, Agnieszka nie walczyła samotnie o swoje dziecko; gdyby nie pomoc ambasadora Rzeczypospolitej Ludowej nie otrzymałaby swego dziecka z powrotem. Agnieszka walczyła o swoje dziecko bo poznała, że w Polsce Ludowej i bez ojca będzie mogła przy pomocy rządu wychować dziecko.

Przedyskutowanie tej książki w zespole pomogło jednej dziewczynie do wyzbycia się niestusznego wstydu swego stanu; pozostała ona nadal w naszej gromadzie i wczoraj Agnieszka zdobyła zawód i stworzyła własny dom.

Proszę Cie, Redakcjo, podziękować autorowi książki.

Jadwiga Depta

Bohater — aktywista wiejski

W powieści Juliana Gałaja pt. „W rodzinie Lebiódów” bohaterem jest 20-letni Stach Lebiód, syn małego chłopca. Ale ojciec Stacha ulega całkowicie wrogiej plotce bogatych sąsiadów, Stach zaś — w przeciwnieństwie do ojca — zajął się sprawami społecznymi gromady. Do Stacha przylączył się jeszcze Krówka i Nidrega, obaj PPR-owcy. Wszyscy trzej podejmują odbudowę swej wsi, lecz bogacze: Salek, Wroniek, Judziński, Leśniewski i inni przeszkadzali im w pracy jak tylko mogli. Stach czytał gazety, uczył się gospodarować po nowemu, przekazywał zdobytą naukę chłopom na zebraniach, organizował współzawodnictwo między Rzeczcami a sąsiednią gromadą. Ale gospodarze, buntownicy przez Salka i jego współników, nie chcieli słuchać rad i wskazówek Stacha. Ojciec wypędził go z domu. Stach zamieszkał u Krówki. To go wcale nie zalało — jeszcze więcej pracował. Przy pomocy towarzyszy założył spółdzielnię, w której ekspedientką została córka Judzińskiego, Irka, rozumiejąca wroga politykę ojca.

Zbudowali dom ludowy, założyli we wsi elektryczność. Stach zajął się organizowaniem pomocy sąsiedzi. Zmusił bogaczy, aby wypożyczali małym chłopom siewniki i konie po cenie państwowej. Sprował też siewnik z POM-u. Sam jeździł od jednego do drugiego gospodarza i obsiewał pola.

Pewnego wieczoru, gdy Stach powracał od Irki, która opuściła dom ojca i zamieszkała przy spółdzielni, napadli go Salek, Wroniek i Judziński i zranili śmiertelnie. Stach Lebiód, który właśnie chodził po podwórzu, usłyszał jęk; wnet je odnalazł syna broczącego krwią. Po długim, starannym leczeniu Stach odzyskał w szpitalu zdrowie. Morderców wykryto i zdemaskowano. Wtedy dopiero ojciec Stacha i jego sąsiedzi zrozumieli, o co Stach walczył.

Szkoda tylko, że autor nie opisał dalszych dzieł Rzeczczy po zdemaskowaniu bogaczy.

Nie jeden taki Stach, jak z powieści Gałaja, poświęcił się sprawie budowania lepszego jutra na wsi. Dla takiej sprawy warto od-

dać życie. I takich, jak Stach, pochodzą najlepsze dziewczyny.

Teresa Zydorówna (lat 16)
Białobrzeg, pow. Września
p-ta Wiąbeckowskiego Holendry
woj. poznańskie

Starzy chłopci powiadają: „najdłuższą pamiętam to, co w moim życiu było najtrudniejsze, najcięższe do rozwiązania”. Lata 1947—48 były w powojennej historii wsi polskiej najtrudniejszym okresem. Rzeczczy, wieś rodzinna Lebiódów i tysiące innych, wkraczały w walkę z przeżytkami kapitalizmu na nową drogę, na drogę spółdzielczości nie tylko w dziedzinie zbytu i skupu, ale również — produkcji. W miarę jednak jak dążenie do nowego brało rozmach, jak Rzeczczy dochodziło do wniosku, że raczej mają nie Judziński i jemu podobni, ale Stacho Lebiód, Krówka czy Nidrega — rosła walka z wrogami szczęścia i dobrobytu materialnego i kulturalnego na wsi.

Podczas czytania „W rodzinie Lebiódów” stanęłam przed oczyma jak żywe owe dni, w których my, młodzież wiejska w Starym Strączu, nie zważając na plotki, na pogardliwe uśmiechy sąsiadów czy niezadowolonych rodziców — organizowaliśmy życie świetlicowe, kiedy pomagaliśmy bez zapłaty przy budowie 7-klasowej szkoły, kiedy naprawialiśmy w ramach zobowiązań pierwszomajowych drogi, w których, kiedy prowadziliśmy linie radiofonizujące wieś. Pracy było dużo, ale energii i młodzieńczego zapału jeszcze więcej. Podobnie jak palący Rzeczczy mieliśmy też wiele przeszkód do zwalczania.

Jedną z największych była plotka.

Wróg rozsiewający bzdury, starannie się ukrywał. Nie dało się z nim walczyć wręcz; był nieuchwytny, skądinąd. Czytając powieść Gałaja byłem zdziwiony, że wrogowie nowego życia Judziński, Wroniek czy Salek działali tak jawnie: znani wszystkim jako wrogowie. Takiego wroga łatwo unieszkodliwić! My musieliśmy zwalczać plotki u odbiorcy tych plotek, u mało- i średniorolnego chłopca, musieliśmy po tysiąc razy tłumaczyć, że chłopci pracujący nie mają dwóch dróg — że ich jedyną drogą jest droga do socjalizmu. W tym „wirze walki” nie zastanawialiśmy się, skąd

bierze się w nas siła i samozaparcie. Po przeczytaniu dzieł Stacha Lebiódy zrozumiałem, że źródłem było i jest dla nas gorące umiłowanie ludu, gorące pragnienie, by wieś od wieków umęczona, stała się wsią szczęśliwych ludzi, budujących socjalizm.

W książce Gałaja podobała mi się prostota, z jaką autor opowiada o ludziach wsi. O życiu codziennym i największym uczuciu — o miłości, mówi słowami dla każdego zrozumiałymi. Widać poprzez nie szlachetną walkę przepełnioną niedzielnymi uczuciami, ale o miłości, mówi słowami dla każdego zrozumiałymi. Widać poprzez nie szlachetną walkę przepełnioną niedzielnymi uczuciami, ale o miłości, mówi słowami dla każdego zrozumiałymi.

Czytając o życiu Stacha — aktywisty wiejskiego — uczyłem się, jak trzeba postępować, aby przelamywać trudności po drugich. Bęczne wskazówki i rady wysnułem z tej książki. Umocniłem się w przekonaniu, że szczęścia swego trzeba szukać w szczęściu ogółu. „Mnie się zawsze zdaje, że przyjdzie czas, kiedy zamiast takich rozproszonych chałup pokrzywionych, zgarbionych, zobaczę jeszcze budynki, o jakich nikomu się nie śni. Stąd, tutaj zobaczmy w przyszłości wielki gmach, większy od naszego Domu Ludowego, a w gmachu tym będzie wszystko — czytelnia, biblioteka, kino, teatr! Irka, warto męczyć się, by chociaż na stare lata zobaczyć to” (str. 201). Stacho dąży do tego celu wytrwale i z uporem. Nie zważał na pogroźki, na złe oczy, na przekupstwa, na plotki, ani na orczyk wroga wymierzony w jego skroń.

Wszystkim moim rówieśnikom radzę przeczytać tę porywającą książkę. Stacho, główny bohater, to wzór dla wiejskiego aktywisty, który gorąco ukochał rodziców, wieś rodzinną, dziewczynę i ziemię. Tą jedyną drogą, tak jak szedł nią Stacho, możemy iść teraz pewnie, szybko. Gdyby autor napisał ciąg dalszy dzieł Rzeczczy, pokazałoby się, że nie trzeba już mówić „by chociaż na stare lata zobaczyć to”. Zbudujemy i wywalczymy wcześniej.

Adam Orłowski (19 lat)
Stare Strącz, pow. Głogów

FRANCISZEK SOCHAJ

Książka jakby o mojej matce

Ogłosiła Redakcja tak zachęcający konkurs, że każdy chciałby w nim wziąć udział i zwierzyć Ci swoje przeżycia.

Tak się do tego przyzwyczailam, że po pracy czytam zawsze w ciche i długie wieczory. Najpierw gazety. W nich podają wieści ze świata, piszą o nowych sposobach gospodarowania, o lepszym uprawianiu roli i wielu ciekawostkach — trzeba czytać gazety i uczyć się z nich, żeby w tyle nie zostać ze swoimi wiadomościami.

Potem książki. Już ich wiele przeczytałem, jedna od drugiej ciekawsza, a tak jakoś wierzę w to, co czytam, że uśmieję się nie raz do rozpuku i napłaczę nad smutną dola bohaterów.

Ale żadna z dotychczas przeczytanych książek — nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak mała, mnie takiego kładka, powieść **Orzeszkowej „Dziurdziowie”**. Te książki przeżywałem nie jako powieść o nieznanych, może nigdy nie istniejących ludziach, ale o mnie samym, o mojej matce, rodzeństwie, o wiosce rodzinnej i o wszystkim, co znam i pamiętam. W miarę czytania lzy nieśmię napływały mi do oczu. Plakałem pierwszy raz od wielu lat. W niedoli Piotrusi, bohaterki opowiadania odnalazłem bowiem niedolę mojej matki. Plakałem też nad ciemnotą wielu, wielu „Dziurdziów” w naszych przedwojennych wioskach... Było to dawno, 30 lat temu. Na wózkach z wsią stała nasza chałupa. Z dala bieleły się ściany, w słońcu lśnił nowopowstający słony dach, a w malutkim oknie śniła się czerwona pelargonia. Duma rozpięta wtedy moje 7-letnie serce, gdy tak patrzyłem na nasze obłęd.

Matka wróciła z ubieranymi ziołami, wysypała je z zapaski przed progiem i spieszenie zabrała się do gotowania obiadu. A my — tzn. ja i Aniela, — moja starsza siostra — usiadłszy na progu, przebiełaliśmy zioła na osobne kupki. Skrzyp do skrzypu, dziewczanna do dziewczannego, dziurawiec, rumianek itd. Potem się to suszyło, a potem matka zanosiła do apteki w mieście, za co otrzymywała drobną zapłatę.

Ze wsi przychodziły kobiety po radę na boleści brzucha, biegunki, albo zatrzymanie — zawsze dostawały garść ziół, które mogły pomóc ale nie zawsze pomogły. I wtedy sypały się babskie klątwy, narzekania, albo przewriska na moją matkę. Nieraz obito mi się o uszy słowo „czarownica”, byłem pewny, że to matkę tak nazywają. A matka zносиła jednakowo pochwały i nagany ludzkie i zawsze była spokojna i dobra.

Ojciec pracował we dworze, był stelmachem. Zwykle w południe czekaliśmy na niego z Anielką przy drodze. Z daleka witał nas uśmiechem, biegłszy mu naprzeciw. Wtedy wtykał nam skrycie do rąk po jabłku i razem wracaliśmy do domu na obiad. Bardzo lubiliśmy owoce, a w domu nigdy ich nie było.

Ale jednego dnia czekaliśmy na próżno. Ojciec nie wrócił — nigdy już nie wrócił. Zmarł nagle przy pracy. Był chory na serce, nie leczył się, a pracował ciężko. Nie wytrzymał. W domu zapanowała rozpacz. Matka chodziła milcząca, z załamaniem i boleśnie rękoma.

Po kilku dniach obezwładniającego smutku Józek, mój najstarszy brat, 16-letni chłopak, zgodził się do roboty w kamieniołomie. Pracował tam całymi dniami, a wieczorem gdy wracał, padał na łóżko jak kłoda. Już nie dokazywał z nami jak dawniej. Widocznie czuł się głową rodziny, albo, co pewniejsze, był bardzo zmęczony. W każdą sobotę przynosił wypłatę, niewiele tego było, ale kładł z dumą na stole przed matką.

My wraz z matką laźliśmy jak dawniej za ziołami. Widmo głodu zaglądało do nas, ale zniknęło, kiedy wracał chleb, ziemniaki lub kasza.

Jesienią we wsi wybuchła zaraza na świnie. Wszystkie wydzichły. Ludziska narzekali, lamentowali, w końcu dobijali, bo szkoda było zakać. Radoszka, najbliższa sąsiadka, przybiegła do nas po zioła dla chorego prosięcia. Matka przez życzliwość nie tylko dała zioła, ale sama poszła zobaczyć objawy choroby. Zioła nie pomogły i prosię zdechło, a drugie zachorowało. Pomór ogarnął wieś lotem błyskawicy.

Upłynął może miesiąc od tej plagi, kiedy pewnego dnia po południu przyszło do nas dwu ludzi. Był to Miękina i Bodura, najzamożniejsi gospodarze w całej gromadzie. Stanęli przed chałupą, a Miękina huknął głośno: Hej tam! Matka wytarła mokre ręce w zapaskę i stanęła w progu. — Do izby chodźcie — zapraszała z uśmiechem — proszę, proszę! Nie weszli.

„My do was — zaczął Miękina — w takiej sprawie, żebyście się z naszej wsi zaraz wynieśli. Zaraz, rozumiecie? Bo jak nie, to was stąd wyrzucimy. Nie chcemy mieć czarownicy, co uroku rzuca na dobytek.”

— Ludzie, co wygadujecie! — krzyknęła matka. — Za co? Co ja wam uczyniłam złego? Chałupę mam tutaj; gdzie mam iść? Za co? Nowe nieszczęście spadło na nas,

niby grom. Matka chodziła jak nieprzytomna, przeżywała cały ogrom beznadziejności. Wtedy zauważyłem, że czarne jej włosy posiwiały, jakby kto popiołem posypał. I ja po swemu martwiłem się. Nie mogłem sobie wyobrazić życia z dala od naszej wsi, bez domu, wśród nieznajomych, obcych ludzi.

Musieliśmy ulec ciemności i złości ludzkiej.

Pamiętam, gdy odchodziliśmy, była jasna noc księżycowa. Gwiazdy mrugały, a mnie było tak smutno, tak bardzo smutno! Obłądłymi wzrokiem staliśmy na ukochanym wózkach, zegnając rozpaczliwym szlochem nasz biały, rodzinny dom. A potem ociążałe zesłaliśmy na drogę.

Wies spała. Tylko psy poszczekiwaly przyjaźnie, jakby gawędliwie. Szliśmy powoli, odpoczywając co trochę. O świcie dotarliśmy do lasu, 15 km od wsi.

Szliśmy długo, długo, przedzierając się przez leśne zarosła. Nareszcie przebyliśmy las i znaleźliśmy się na równym, zielonym pastwisku. W dali ujrzeliśmy na wprost rozwaloną szopę, pewnie schronienie pastuchów, wskazałem na nie ręką. Matka kiwnęła głową i bez namysłu ruszyła, a my poszliśmy za nią. Tę niedzielną szopę w mig poprawiliśmy i opatrzyliśmy. Nikomu z nas, dzieci, nie przyszło do głowy, że szopę nie jest nasza, ani „grunt pod nią”; jedynie matka pojmowała grozę naszego położenia i siedziała zmartwiona, patrząc obojętnie na nasze zwykowanie.

Na kolację dostaliśmy po kawałku chleba, który smakował mi nadzwyczajnie. Późno już było, jak pokładaliśmy się na posłaniu z mchu. Jakże cudownie się spało po tych trudach, choć budziło trochę matczyne wzdychanie; ona nie spała...

I popłynęły nowe dni. Józek chodził do roboty, a my z matką zbieraliśmy w lesie zioła jak dawniej. Czasami tęskno było za wsią, za chałupą zacinającą i ładną. Matka na pewno wciąż tęskniła, bo była smutna, milcząca i nigdy nie śmiała się.

Raz w trzy tygodnie po tym osiedleniu się zgubiliśmy się w lesie. Wróciliśmy sami do szopy, a matki jeszcze nie było. Wróciła dopiero wieczorem. Nie mieliśmy lampy, ale przy księżycu ujrzeliśmy popadłą i wielkonożną twarz matki; nie przyniosła ziół, a rękami przetrzymywała strzępy podartej sukni. Milczała i my też, ale poznaliśmy od razu, że stało się coś złego. Na posłaniu w kącie legła, z cicha stęknawszy — i już nie wstała. Opowiedziała nam w kilku urwanych, bełkotliwych zdaniach o wydarzeniu. Spotkał ją gajowy, kiedy zbierała zioła. Rzucił się na matkę i kolbą karabinu bił i bił bez litości. A potem splunął na leżącą i kopnąwszy butem, rzucił przez zęby: — „Złodziejka, czarownica!” i dopiero odszedł. Długo leżała matka bez sił, wreszcie z wielkim trudem podniosła się i przywlokła do domu.

Gotowaliśmy jej różne zioła. Piła, ale nie pomogły. Matka leżała, ściskała i tłała.

Nedza swą okropną mordą zajrzała do szopy. Zarobki Józka nie wystarczały nawet na chleb. Chodziłszy więc z Anielką na zmianę za jalmużną.

Bywało, że przyjmowano „nas” litościwie i obdarowywano, ale i tak też bywało, że szcztu nas psami.

W jedno południe śmierć przyszła do chaty. Nigdy nie wyżałuje, że nie byłam przy zgonie matki. W jej zamglonych, nie widzących oczach błyszczały łzy.

Znowu stanęliśmy w obliczu nieszczęścia. Poculiśmy się bardzo nieszczęśliwymi, zupełnie opuszczonymi sierotami. Następnego dnia przyszedł policjant i rozkazał natychmiast wyprawać się z szopy. Jak to dobrze, że matka nie musiała tego nowego ciosu przeżywać, jak dobrze!

Wkrótce sprzedaliśmy w miasteczku wszystko co mieliśmy.

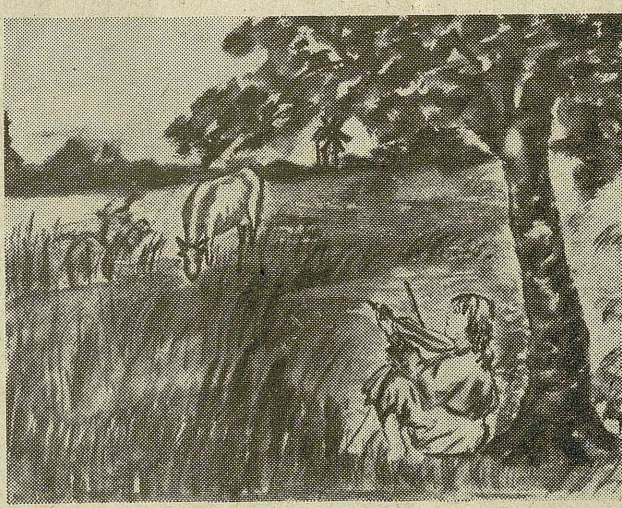
Józek postarał się o przyjęcie Aniela do służby. Poszła na wieś za gęsiarkę. Sam szukałem sobie służby, ale jej nigdy nie znalazłem. Zostałem w miasteczku i rozpocząłem „karierę” gazeciarza. Ciężkie to było życie, o ciężkie! Los bezdomnego dziecka jest straszny. Złamię on je niemilosierdzie, albo zahartuje na całe życie. Mnie tak zahartował, że ani męczarnie w obozie oświecimskim, ani inne przeciwności nie zdołały mnie złamać.

Teraz pedzę wprawdzie samotnie, ale spokojnie i szczęśliwie życie. Ile sił staram się słowem i przykładem wpływać na sąsiadów, aby chętnie szli za postępem i zerwali z zacofaniem i uporem tkwienia w starych przesądach. Dziś już nie potwórzy się smutna historia Piotrusi i Dziurdziów. Ale właśnie — ta mała książeczka dała mi przeżyć na nowo własne, smutne dzieciństwo. Przrykłem wspomnienia, ale tchnące ciepłem matczynego spojrzenia, matczyne dotknięcia i gorzko pachnących ziół...

Inaczej one teraz pachną, kiedy nauczyciele zachęcają dzieci do zbierania, kiedy uczą o ich leczniczych właściwościach.

Franciszek Sochaj
wieś Rataje

Rysunki do „Janka Muzykanta”



Rysunki te wykonała Jadwiga Bialek, ludowa artystka ze wsi Chełchów pow. Koziejowa. Rysunkami swoimi włączyła się ona do grona uczestników konkursu pokazując w ten sposób, jak przeżyła i zrozumiała los Sienkiewiczowskiego „Janka Muzykanta”.

POLSKIE RADIO I REDAKCJA TYGODNIKA „WIEŚ” ogłosiły z dniem 1 lutego br.

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW WIEJSKICH

pod hasłem

„PISZĘ O KSIĄŻCE, KTÓRA DAŁA MI NAJWIĘCEJ WZRUSZEŃ I KORZYŚCI”

Konkurs trwa do 31 marca br.

Autorów najlepszych wypowiedzi oczekują nagrody:

Nagroda I — jedna 1.000 złotych
Nagroda II — dwie — po 750 złotych
Nagroda III — pięć — po 500 złotych

Pomiędzy pozostałych uczestników Konkursu zostanie rozdzielonych 500 książek

GDY wróciłem do Zarządu Powiatowego, żadne z okien nie błyszczało już światłem. Było późno. Wszedłem do pokoju, który od roku już dzieliłem z Władkiem Michtą i zapaliłem światło. Leżał na łóżku w zakurzonym ubraniu, najwidoczniej bardzo zmęczony. Całodzienny linowy upał i mienie dał się porządnie we znaki — mimo, że minionej nocy nie spędziłem jak on na nienajlepszych drogach naszego powiatu. W drobnych, promienistych zmarszczkach wokół oczu kurz zastylł w ciemne, mocne kreski, które czyniły twarz Władka znacznie starszą, niż była w istocie. Przez usta lekko rozchylone wydobywał się ciężki, świszczący oddech. Tak śniły tylko ludzie ciężko spracowani. Pochyliłem się nad nim: grube, spieczone wargi ułożyły się w bezgłośny, dobry uśmiech.

— Dobre sny — pomyślałem. Nie miałem serca budzić go, aby się rozebrał. Usiadłem przy stole i zacząłem manipulować przy odbiorniku. Przez chwilę słyszałem szmery i przytłumione trzaski, potem popłynęła jakaś spokojna, cicha melodia.

Na stole leżał gruby, dobrze się podniszczony zeszyt. Był to stary, w całym powiecie notatnik Władka Michty. Słuchając melodii przewracałem kartki, zatrzymując wzrok na datach i notatkach, które

JÓZEF LENART

WŁASNOŚĆ

Opowiadanie

gle poznał Maciejewską z zupełnie innej strony. Szedł do Skarżyna, na skraju wsi, koło stawu, przy którym stoją zabudowania Maciejewskich, siedzi na brzegu szczupła, nieduża kobieta z rękami splecionymi na kolanach. Gdy podszedł bliżej, poznał Maciejewską.

„Niedawno minęło południe — opowiadał z przejęciem. — Wszyscy spółdzielcy wyszli do sianokosów na nadrzecznych łąkach, a ona — zwyczajnie bumeluje. Spokalem Stacha Maciejewskiego i mówię: — Czemu matka nie wychodzi do roboty? Aktywiści niby jesteście, a tymczasem...”

Stacho rozłożył bezzadanie ręce: — Bumeluje. Od czasu gdy wstąpiła do spółdzielni, jeszcze ani razu nie wyszła do roboty. Do spółdzielni przekonałem ją, ale teraz poradzić sobie nie mogę. Mów co chcesz, a ona nie tylko milczy. Co ja zrobić, powiedz? Idź ty spróbować szczęścia...”

Podszedłem do niej.

— Pozwolicie się przysiąść, Ma-

skrupulatnie, ale głową kręci z niedowierzaniem i twierdzi na koniec, że kobieta zdrowa. Zadanych recept nie napisał i pojechał skąd przyszedł. A ona nic, tylko leży z oczyma utkwionymi w sufit, markotna i milkliwa, jakby jej mowę odejęło i codziennie wygląda bardziej chora.

Przerwałem na chwilę i zapytałem:

— Jak myślicie, Maciejewska, co jej może dolegać?

— Nic, tylko robak jakiś ją gryzie — odparła. — Małoż to ludzie mają zmartwień?

— Ja też tak myślę — powiedziałem z uśmiechem, kątem oka obserwując Maciejewską. — Robak własności ją gryzie.

Poruszyła się, lecz głowę nie odwróciła. Mówiłem dalej:

— Własność głęboko zakorzeniła się w człowieku...

Miałem zamiar kontynuować swój wywód, ale Maciejewska nagle zerwała się:

— O mnie mówisz, wiem... A co tobie do tego, powiedz? Przyjeżdżę taki z powiatu i gada, serce rozdrapuje. Tobie łatwo gadać, toć nie za co innego ci płacą. A mnie boli, odejdź ode mnie.

I poszła sobie. Okrzykiwała stodołę, stojącą tuż nad stawem i zniknęła na gumnio.

Spojrzałem do zeszytu: na marginesie — pytanie ujęte w nawias „jak jej pomóc?” Władek spał, poświśniętą przez uśmiechnięte wargi. Zamknąłem zeszyt i dopiero teraz zdecydowałem się obudzić go: chciałem porozmawiać o Maciejewskiej. Ująłem jego ramię i potrząsałem. Otworzył oczy i nieprzytomnie wpatrywał się w moją twarz.

— Rozbierz się, towarzyszu Michta. Spać trzeba po ludzku.

— Odejdź — wymamrotał sennie i odwrócił się na drugi bok.

Tego wieczora nie udało mi się porozmawiać z nim. Ściągnąłem mu buty i bluzy, po czym przykryłem go kocem. Sam ułożyłem się na łóżku i ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, już spałem.

Nazajutrz, wczesnym rankiem wyjechałem do wsi K., położonej w odległości czterech kilometrów od Skarżyna. Szybko uwinąłem się z robotą, po czym wszedłem na rower i pojechałem do rodzinnej wsi Władka Michty, z myślą, że wproszę się na nocleg do Maciejewskiej.

Gdy dojeżdżałem do Skarżyna, dzień miał się ku końcowi — ciężkim, purpurowym kłęgiem ognia zawisł nad pagórzastym krajobrazem. Złote za dnia, dostałe lamy zboża, gdzieniegdzie dotknięte już kosą, rudziły coraz bardziej, aż przybrały lekko lilijową, wrzosiową barwę. Zsiadłem z roweru i szedłem pieszo zakurczonym gościńcem, z ciekawością rozglądając się po polach; nie byłem tu już od dawna.

Po lewej stronie drogi, wznosił się łagodny stok wzgórz, po którym jeszcze na długie, a wąskie pasemka zagónów. Na szczyt tego wzgórza machał skrzydłami duży, bruchaty wiatrak Muszyńskiego — miejscowego kuliaka; w głębi wi-

doczne były wierzchołki sosen. Po drugiej stronie, od gościńca, aż do rzeki ciągnęły się pola spółdzielcze. Gdzieś daleko, z drugiej strony wsi, którą droga przecięła na dwie nierówne części, znajdował się słychać było donośne parskanie traktorów.

Spółdzielcy kończyli dzień pracy. Zebrał się gromadą wokół brzości, prostowali obolale plecy i przysłoniwszy oczy ręką spoglądali w stronę wiatraka, za którym chowało się słońce. Pogoda na jutro zapowiadała się nie mniej piękna niż dzisiejsza.

W pierwszej grupie zniwiarzy wracających z pola, zobaczyłem młodszego Michtę, Władkowego brata. Był to chłopiec wysoki, ze spleśzczonym nosem i szeroką, kościstą twarzą, z której patrzyły wesołe maleńkie, ciemnoniebieskie oczy. Dzięki tej twarzy nadano mu przezwisko Kalmuk, do którego od dzieciństwa przywykł tak, że właściwe nazwisko uważał niemal za obraźliwe. Śmiech budziła anegdota, którą opowiadał w Zarządzie Powiatowym Władek Michta, bardzo wzruszony wyklócał się z bratem, czy podpisać się „Michta” czy „Kalmuk”. Szedł w grupie dziewcząt z byle powodu szczerzących zębów, przy każdym stąpnięciu kołysząc biodrami. W ruchach jego było coś, co upodobało go do tańczącej dziewczyny.

Z tyłu, trzymając się w pewnym oddaleniu od młodych szła drobna kobieta. Na głowie miała barwną chustę, która co chwilę zsuwała się na czoło — poprawiała ją szybkim, bezwiednym ruchem i przyspieszała kroku. Ale spostrzegłszy, że zbliża się do młodych, znów zostawała w tyle.

Zobaczywszy mnie, Kalmuk rozglądał się z zakłopotaniem. Z widocznym żalem opuścił dziewczęta i podszedł, krzyknąwszy uprzednio do drobnej kobiety:

— Maciejewska, zagonicie te gęsi do wsi.

— Sam jesteś gęś — oburzyła się któraś z dziewcząt, po czym wszystkie razem roześmiały się jak na komedie.

Ku zdziwieniu Kalmuka, Maciejewska przyspieszyła kroku i dołączyła się do dziewcząt.

— Czego się dziwisz? — spytałem, sam będąc zdziwiony.

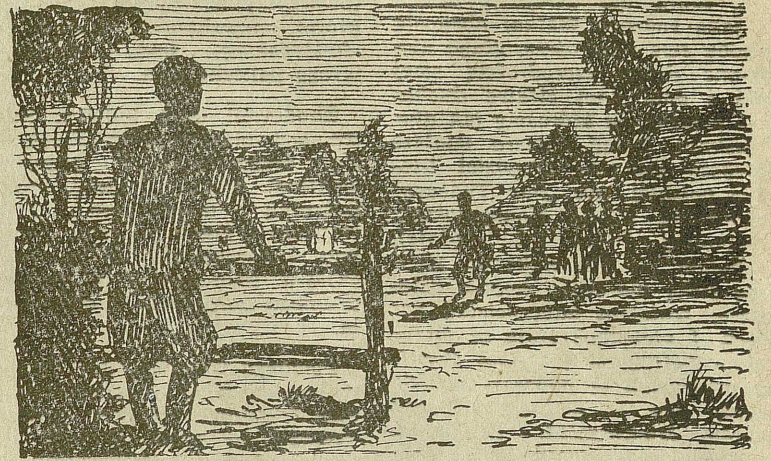
— Ona dotychczas — wskazała Maciejewską — sama chodziła, z nikim nie gadała... Powiadali, że... zrobił kółko na czoło.

Przywitał się, obejrzał swój sfatygowany rower, powiedział „stary grāt, towarzyszu!” i omijając moje pytanie dotyczące Maciejewskiej, z zapalem zaczął opowiadać o zabawie, którą według jego pomysłu ma się odbyć nad stawem.

— Przyznajcie sami — natarczywie domagał się uznania dla swego pomysłu — takiego czegoś jeszcze nie było w naszym powiecie.

— Zobaczymy — uśmiechnąłem się sceptycznie — na razie trudno cokolwiek powiedzieć.

Lecz w głębi duszy byłem uradowany pomysłem Kalmuka. Przypomniałem sobie zeszłoroczny urlop, spędzony z Władkiem Michtą we wsi nad Bugiem, gdzie zakonspirowaliśmy się w obawie nagłego „odwołania z powodu nawału pracy”. Wieczorami chodziliśmy nad rzekę, zarzucałymi wędkami i godzinami śczeliliśmy w nadbrzeżnych zaroślach. Po drugiej stronie rzeki, na brzegu wysokim i obficie zadrzewionym rozłożyła się spora ukraińska wieś. O zmierzchu młodzi skuniali się wokół harmonisty, szli przez wieś gromadą i śpiewali. Przychodzili na brzeg, na wydeptanej polanie rozpalali ognisko, sadzili się dookoła... Nieraz do późnej nocy w świetle ogniska migły sylwetki tańczących, to znów po wodzie płynęły pieśni powolne i zadumane, miękkie i rzewne, docierające do głębi serca i poruszające wszystkie struny doświadczenia, ludzkich uczuć... Nawet pogranicznik z automatem przystawał na chwilę w kręgu czerwonego światła



ła pośpiewał, pośpiewał i znów odchodził pełnić swoją służbę.

Po północy wracaliśmy do wsi, spierając się szczerem, komu tym razem winien przypaść w udziale jedyny złowiony kielbik, czy okoni...

Tego Kalmukowi nie powiedziałem. Gdy zdziwił się mojemu milczeniu, uśmiechnąłem się:

— Ukraińscy komсомолы dawno już wpadli na twój pomysł. Ale to — dodałem po chwili — w niczym nie umniejsza wartości pomysłu towarzysza Kalmuka.

— Skąd wiecie?! — spytał rozczarowany, mimo mego pocieszenia.

— Widziałem na własne oczy — odparłem.

— Aaa — mruknął i było to podobne do jęku.

— Nie martw się, Kalmuk, mogę cię zapewnić, że w naszym powiecie ty pierwszy wpadłeś na ten pomysł. Ale przyznaj się — przytrzymałem go za ramię — Władkowi ukradłeś.

Obrazili się, więc szliśmy w milczeniu. We wsi już, skręcając ku domowi, mruknął coś w rodzaju „czesć!” i chciał odejść. Spytałem:

— Wojnę mi wydajesz, Kalmuk?

Roześmiał się, wrócił i podał mi rękę.

Maciejewskiej nie zastałem w domu. Stacho siedział na sfatygowanej kanapie, z której wylażyło wikse — i stroił mandolinę. Zdą-

żył już przebrać się w zetepnowską koszulę i zawiązać krawat, teraz czekał na matkę, która poszła coś tam załatwić u przewodniczącego spółdzielni. Gdy wszedłem, odwrócił się.

— Dobry wieczór — rzekłem.

— Chyba będzie dobry — odparł, zrobił mi miejsce na kanapie, abym mógł usiąść i poprosił, żeby mu nie przeszkadzać w strójowaniu. Milczałem przez chwilę, ale nie wytrzymałem.

— Przestań, porozmawiaj z gościem.

— A ty, coś za gość niby — odparł, ale mandolinę odłożył na bok. Nie często u nas bywasz, dlatego wydaje ci się, żeś niby gość. Głodnyś?

— Zjadłbym coś — odpowiedziałem i przypomniałem sobie, że nie jadłem obiadu.

— Poczekaj, matka niezadługo wróci. Ja też jeszcze nie jadłem.

— Do roboty wychodzi od dawna? — spytałem, aby zacząć rozmowę o Maciejewskiej. Stacho nie od razu zrozumiał.

— Niby kto? O kogo pytasz?

— O twoją matkę — odparłem.

— Już od tygodnia.

— Co się z nią działo? — pytałem.

— Słyszałem, że przez trzy miesiące, od czasu gdy wstąpiła do spółdzielni, nie pracowała, ani jednego dnia. Powiadali, że zachorowała na własność. Nie bardzo

chciałem w to wierzyć. Wprawdzie wdowa Maciejewskiej nie znam, ale znam aktywiście, niejakiego Stacha Maciejewskiego. No i, nie mogłem uwierzyć.

Stacho odczuł to widocznie, jako nagane pod jego adresem.

— Matka aktywisty to chyba też człowiek? Wolno mu przeżywać, nie?

Zmierzchało na dobre. Słychać było porykiwanie bydła, znajdowało się coraz głośniejszy żabki koncert, przez który z trudnością przebiegały się inne odgłosy wiejskiego wieczoru: poskrzypywanie żoraw, klekot wozu zaciągającego na gumnio i głośnie rozmowy.

— To długa historia — ciągnął po chwili namysłu. — Nie zdąży ci opowiedzieć, zanim matka przyjdzie.

— Później dokończysz.

— Dobrze — odparł. — Co z tego, że mnie uważają za aktywistę. Ja rozumiem, wiem: bez tego nie można żyć dalej. Świat idzie naprzód, musi iść, żeby nie zbutwieć, żeby człowiek był człowiekiem, a nie niewolnikiem, jak dotąd. Ja o tym wiem i dziękuję ludziom, od których dowiedziałem się o tym.

— Ty wiesz o tym. A matka? — Przerwał mu, w obawie, że za cnie wygłaszać referat.

(Dokończenie na str. 7)

LESZEK MOCZULSKI

ROK W KTÓRYM NADESZŁA WOLNOŚĆ

JEST w znanym filmie radzieckim „Trzeci szturm” taka scena: u dowódcy okupacji Kryn 17 armii niemieckiej, generała Jänecke, bawi grupa wyższych wojskowych i „goście” z Turcji. Całe towarzystwo spędza czas na zabawie. W pewnej chwili otwierają się drzwi i wpada jakiś oficer. Szepcze coś generałowi do ucha. Ten prostuje się przerażony...

Wiesz, która porażka zebranych — komunikat o nowej ofensywie radzieckiej, słynnym pierwszym ciosie stalinowskim — była dla nich tym straszniejsza, że... oczekiwana. Spodziewali się jej tak, jak ciężko chorey czeka na nową atak, nie wiedząc kiedy nastąpi i w czym się objawi.

Niemcy hitlerowskie były na początku roku czterdziestego czwartego w sytuacji takiego właśnie chorego. Wojna na wschodzie trwała już trzeci rok. Przeszły do historii milowe szupy Moskwy, Stalingradu i Kurska. Przeszły istnieć najlepsze, kadrowe dywizje Wehrmachtu. Pozostawała im tylko obrona, nadzieja na skonstruowanie nowej broni i na... możliwość dogadania się z zachodnimi aliantami.

Mimo klęsk i dotkliwych strat armia hitlerowska była jeszcze nadal potężna. „Festung Europa” broniło 10 milionów żołnierzy, tworzących ponad 300 dywizji. 257 z nich obsadziło front wschodni, ciągnący się długą linią od Morza Łódowego, przez Karele, obok Leningradu i dalej na południe — do wybrzeży Móz Czarnego i Azowskiego.

Tak wyglądała sytuacja gdy wojska radzieckie w połowie stycznia przerwały faszystowskie linie obronne na południe od Leningradu.

Armia radziecka przygotowywała się do ofensywy 1944 r. bardzo

starannie. Stało przed nią wielkie zadanie: w ciągu roku wypędzić wroga całkowicie z ojczystego kraju, zniszczyć jego armię, wkroczyć w granice hitlerowskiej III Rzeszy.

Aby zrealizować te plany radzieckie naczelne dowództwo musiało opracować wiele ważnych operacji, i to w sposób nowy, oryginalny. Trzeba było zaskoczyć przeciwnika, bić go tam gdzie nie jest na to przygotowany, zmuszać hitlerowski sztab generalny do ciągłego przetrzącania odwodów na coraz to nowe kierunki — i to przetrzącania późnionego.

Wojska radzieckie wykonywały te zadania z podziwu godnym mistrzostwem.

Już pierwszy cios zadany wrogowi pod Leningradem zaskoczył faszystowskie dowództwo. Spodziewało się ono ofensywy na południu, na Ukrainie. Tam skoncentrowano dwie trzecie wszystkich niemieckich jednostek pancernych, rozmieszczono większość odwodów.

Tymczasem huk dział rozwał powietrze na północy...

Ledwie rozgromiona wojska hitlerowskiej grupy armii „Północ” schroniły się do republik nadbałtyckich, za zastaną jeziora Peipus, gdy drugi cios radziecki spadł na Ukrainę. Nim Niemcy zdolali się opamiętać, stracili 10 dywizji w kotłach pod Korsunem i Szewczenkowskim. Tuż za ich plecami wojska marszałka Żukowa, wykonywały po zdobyciu Kowla potężny raid na tyłach hitlerowców, docierając aż do Czerniowiec i przecinając faszystom drogi odwrotu z Ukrainy. Armie dowodzone przez Mannsteina zostały zupełnie rozgromione. Straciły one nie tylko 3 tysiące czołgów, ale i... samochód swego dowódcy.

Już dwa pierwsze uderzenia były przekonującym dowodem mistrzostwa armii radzieckiej i stalinowskiej sztuki wojennej. Nastąpi-

ły one w miejscach i czasie zupełnie niespodziewanym przez hitlerowców. Rozwijały się płynnie, w bardzo szybkim tempie. Nim sztab hitlerowski pomyślał o planach przetrwania, zdecydowały na przetrwanie odwodów — było już na to za późno.

Warto zwrócić uwagę na wielkie obszary, na których rozgrywały się boje. Pierwszy cios wywołał teryny od Bałtyku do Dźwiny i od rzeki Łowa do jeziora Peipus. Drugie uderzenie uwolniło od wroga prawobrzeżną Ukrainę i część Mołdawii. A przecież nie były to operacje o największym zasięgu.

O wiele potężniejszy był piąty cios, który zniszczył całkowicie centralną grupę faszystowskich armii.

I tu możemy podziwiać wirtuozerie radzieckich dowódców, wysokiego kunsztu bojowego Czerwonej Armii likwidującej potężne — największe na całym froncie ugrupowanie hitlerowców.

Armia radziecka zaczynała od otoczenia dwóch skrzydeł faszystowskich. Pod Bobrujskiem i Witebskiem ginie 10 niemieckich dywizji. Równocześnie główne siły wroga związane są potężnym, czołowym natarciem. Hitlerowcy nie mogą przerzucić wojsk z jednego odcinka na drugi. Rezygnują więc z otoczonych jednostek i pośpiesznie odwrotom usiłują uratować główne siły swych armii. Cofają się na Mińsk.

Radzieccy czołgisti i kawalerzyści są jednak szybsi. Stalowa obroż zamyka się.

Strach i panikę faszystów nie oddaje pamiętnik oficera 31 niemieckiej dywizji piechoty. Piszono:

„27.VI. Wszystko idzie na wskazywanie. Nasze siły prowadzą ciężkie walki o osłonę mostu. Wszyscy wycofują się. Maszyny przepełnione. Długa ucieczka.”

29.VI. Odchodzimy. Rosjanie chcą nas wyprowadzić. Naprężenie ponad

granice wytrzymałości. Partyzanci niszczą wszystkie mosty.

30. VI. Wszędzie chaos i okropności. Most przez Berezynę pod silnym ostrzałem.

1.VII. Brak już sił. Idziemy po szosie na Mińsk. Wszędzie jakieś dzikie zatory i korkowanki. Wszyscy ko ucieka. Panika. Ostrzały ze wszystkich stron. Ludzie i sprzęt giną.

2.VII. Rosjanie przecięli szosę. Już nikt nie przejdzie. Tego jeszcze nigdy nie widziałem. Można zżarować.”

W Berlinie mówią to samo. Tak, można zżarować. Ponad pół miliona ludzi zabitych lub wziętych do niewoli. Stracone dwa i pół tysiąca czołgów, 60 tysięcy samochodów. We froncie powstała luka szeroka na 500 kilometrów. Zapelniać ją mają przetrzucane pośpiesznie z Francji dywizje.

Ale wojsk radzieckich nie zadowalały odniesione sukcesy. Trzeba jak najszybciej wyzyskać odniesione zwycięstwo. Ofensywa radziecka nie tylko że nie traci na tempie, lecz wręcz odwrotnie: staje się bardziej gwałtowną. Pod koniec lipca zostaje sforsowany Bug. W tydzień później Czujkow, bohater Stalingradu, wywalcza przyczółek na Wiśle pod Warką.

W ciągu miesiąca natarcia armia radziecka przebyła 1000 km. Cały front wschodni został wstrząśnięty w posadach. Północna grupa hitlerowskich wojsk, znajdująca się w republikach nadbałtyckich, stoi przed groźbą odcięcia. Południowe armie niemieckie mają najbliższą drogę do Berlina przeciętą przez wojska radzieckie.

Tyle sprawiło jedno tylko, piąte stalinowskie uderzenie.

A przecież w 1944 roku było ich 10. Każde inne, każde zdumiewające oryginalnością i śmiałością koncepcji, każde gromiące całe armie faszystów. Oprócz tych, o których była mowa wyżej, warto wspomnieć o 3 uderzeniach, które zadecydowały o wyzwoleniu Krymu. Była to — zdaniem niemieckich i niektórych zachodnich komentatorów wojskowych — opera-

cja trudniejsza niż inwazja anglo-amerykańska we Francji. Czwarde złamało linie Mannerheima i zmusiło do kapitulacji Finlandii. Szóste dało wolność Rzeszowszczyźnie i doprowadziło wojska radzieckie za Sandomierz. Siódme wyzwoliło Rumunię i Bułgarię, ósme republiki nadbałtyckie. W toku dziewiątego wojska radzieckie zdobyły Belgrad, Budapeszt i podeszły pod Wiedeń. Dziesiąte wreszcie zniszczyło wojska niemieckie na dalekiej północy i rozpoczęło wyzwolenie Norwegii.

Ogólny bilans tych 10 ciosów nie ma sobie równego w historii. Na tysiąc do dwóch i pół tysiąca kilometrów w głąb, wzdłuż całej, liczącej 5000 km linii frontu przeszły na zachód jednostki radzieckie.

Sukcesy armii radzieckiej miały ogromne znaczenie również dla frontu zachodniego. Rozgromienie faszystowskich sił pod Leningradem, na Ukrainie i Krymie zmusiło hitlerowski sztab generalny do przetrzucia na wschód kilkudziesięciu dywizji z Francji, co znakomicie ułatwiło aliantom przeprowadzenie inwazji na kontynent.

A później, gdy zachodni sprzymierzeńcy dreptali bezskutecznie w wyprawach na Normandii, rozwiązanie przyniosła radziecka ofensywa na Białorusi. Odciągnęła ona na front wschodni dalszych 30 dywizji i prawie całe lotnictwo niemieckie.

Nie więc dziwnego, że w takiej sytuacji Amerykanie zdolali wreszcie opanować Francję. Kropkę nad i postawił gen. Barker, dowódca 8 korpusu brytyjskiego, mówiąc:

— Wyzwolenie Paryża dokonało się nad... Berezyną.

Zastanówmy się pokrótce nad źródłami tych wspaniałych zwycięstw.

Główną przyczyną zwycięstw był radziecki, socjalistyczny ustrój społeczny. Ofarna praca, patriotyzm i prawdziwe bohaterstwo klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji, przyjaźń narodów radzieckich, organizująca i mobilizująca rolę partii komunistycznej, wielka, jednolita moralno — polityczna ludź radzieckich — w decydujący sposób za-



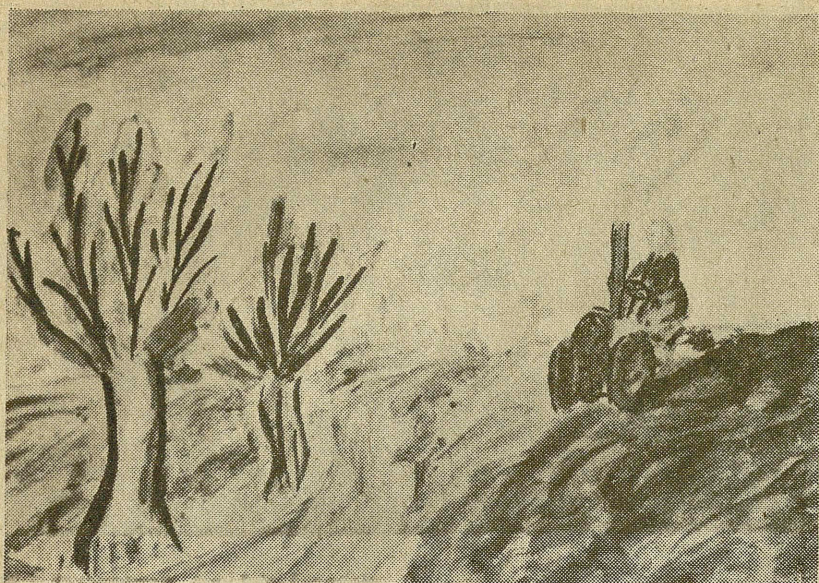
wały na przebiegu wojny. Obywały wielkiego Kraju Rad, daleko czy blisko od Moskwy, pracowały bezustannie dla swej armii, zapewniając jej nieprzerwaną dostawę na front, która broniła ich przed zbrodniczymi najeźdźcą, która broniła zdobycy całej ludzkości — socjalizmu.

Drugim decydującym czynnikiem był moralny duch armii. Żołnierze radzieccy rozumieli, że walczą nie tylko o zachowanie zdobycy socjalizmu w swoim kraju — lecz także o wolność i swobodę innych narodów. W potrzebie nie żalowali własnego życia. Bili się w najcięższych warunkach — w mrozy i śniegi, pod kierownictwem Partii pokonywali największe przeszkody. Ich wola zwycięstwa nie miała równych w historii.

—

Dziesięć lat minęło. Miasta, które wtedy pokrywała trawa, narodziły się do nowego życia. Znikły z pół wraki znaczonego krzyżem czołgów, Ziemia, kiedyś pocięta pasami drutów kolczastych, skrywa dziś w sobie ziarno, siew chleba — a nie miłny, siew śmierci.

To przed dziesięciu laty radzieccy czołgisti przywieźli nam wolność, Leszek Moczulski



Obraz 16-letniej malarki ludowej Janiny Lizak ze wsi Zaliptie, pow. Dąbrowa Tarnowska.

MICZYSŁAW CZAJA

DOBRE SPEŁNIONY OBOWIĄZEK *)

NARADA przodujących w hodowli kobiet — uczestniczek konkursu hodowlanego, należy do rzędu takich, które zwykły przechodzić do historii gospodarczego i kulturalnego rozwoju kraju.

Jest to bowiem narada produkcyjna wspaniałych chłopek — patriotek, które przez swoją inicjatywę, przez systematyczną zorganizowaną pracę, uzyskały osiągnięcia, pokazujące, jakie olbrzymie siły i rezerwy tkwią w naszym narodzie i w naszej gospodarce. Powołanie do życia i realizacja tych rezerw mogą waleń przyczynić się do wykonania historycznych tez IX Plenum KC PZPR.

Fale nowych zobowiązań wsi polskiej dla uczczenia II Zjazdu Partii poprzedza wspaniałe dorobek konkursu hodowlanego, prowadzonego w roku 1953 przez kobiety wiejskie. Wyniki konkursu świadczą jeszcze raz o tym, jak wielkie i niespożyte możliwości gospodarczego podniesienia produkcji hodowlanej kraju tkwią w gospodarstwach chłopskich pracujących — równocześnie świadczą o wielkim wkładzie, jaki wniosły chłopki swą zorganizowaną i twórczą pracę w dzieło gospodarczego umocnienia kraju.

A oto dorobek ich pionierskiej i twórczej pracy. W ramach konkursu wyhodowano 18.205 sztuk bydła, 20.992 cielczek, 1.109.335 sztuk trzody chlewniej, w tym 17.186 macior, 24.800 owiec, około 380 tys. sztuk drobiu, i 82.400 sztuk królików. Cyfry te świadczą o olbrzymim wysiłku kobiet wiejskich.

Mogą i mają czym pochwalić się, mają z czego być dumne przedstawicielki kobiet wiejskich, biorących udział w naradzie. Mają z czego być dumne matki synów i córek pracujących działających w przemyśle, uczących się w szkołach wszystkich stopni, pracujących w laboratoriach naukowych, w instytucjach kulturalnych, kobiety, które niestrudzoną pracą pokazały, jak można służyć krajowi, rządzącemu przez lud, zapewniającemu kobiecie należne prawa i rolę w społeczeństwie, rolę organizatorki jego życia gospodarczego i kulturalnego.

Konkurs hodowlany 1953 roku przyniósł nie tylko zwiększoną ilość odstawionych ponad plan produktów hodowlanych, polepszających zaopatrzenie mas pracujących w niezbyt dobrych warunkach — ale przede wszystkim przyniósł bogaty dorobek w postaci metod, przy pomocy których kobiety osiągnęły tak wspaniałe rezultaty.

Wzamy jako przykład zaszczytne konkursowe, w których kobiety opisują metody swej pracy. I tak np. ob. Karolina Warchoł z Łowczówka gminy Rożna, przez podniesienie czystości i higieny kurni-

ków, przez zaopatrzenie się w dobry materiał hodowlany kur, przez stosowanie odpowiedniego żywienia, zgodnie z najnowszymi podrecznikami — odstawiła ze swego gospodarstwa ponad 700 jaj do wyłogu, ponad 1700 jaj konsumpcyjnych oraz 180 kur dwuletnich. Ponadto, biorąc udział w wystawie hodowlanej w Tarnobrzegu, pokazała setkom gospodyń wiejskich jak należy prowadzić racjonalną hodowlę drobiu.

Podobnie ob. Zofia Chrzan z Bolesławowa pow. wielunińskiego, otrzymała o wiele lepsze rezultaty w wychowie jagniąt — przez oddzielenie ich od matek i dokarmianie, zaś sposób ten zastosowała opierając się na podrecznikach, jakie dostarczone jej w ramach samokształcenia prowadzonego przez Koło Gospodyń i Upowszechnienie Wiedzy Rolniczej.

Kobiety wiejskie posiadają ogromną inicjatywę; zdobyły one sporo wiedzy w drodze samokształcenia i w praktyce hodowlanej. Czego potrzeba, by wyniki pracy przodujących kobiet stały się pożyteczną i rzeczywistą dźwignią gospodarki hodowlanej w kraju?

Jednym z pierwszych warunków dla osiągnięcia tego celu jest jak najszersze propagowanie ich osiągnięć. Koniecznym jest, by ich przykład dotarł do mas gospodarstw wiejskich, by masy gospodyń i chłopskich przyjęły ich przykłady jako swoje, jako jedynie prowadzące do celu.

Drugim z kolei postulatem, od którego zależy rozwój hodowli, jest przyswajanie sobie coraz lepszych metod i upowszechnianie tych metod, wprowadzanie ich w masową praktykę pracujących chłopskich i gospodyń wiejskich.

Dużo w tym kierunku może zrobić właśnie gospodyni. Na niej spoczywa nie tylko przełamanie niesłusznych przesądów, że „chłopską robotę” uważa się tylko starannie o konia (a właściwie o konia robotę), lecz i pokazanie, że organizacja pracy w gospodarstwie zależy właśnie w olbrzymiej mierze od kobiety.

Liczne przykłady dowodzą, że prawdziwą organizatorką gospodarstwa jest kobieta. Mówi się o nich, że mają „złote ręce”. Tak jest istotnie. Nasze kobiety i ilościowo, i jakościowo przodują w hodowli przed mężczyznami. A przodująca kobieta jest ta, która wnosi postęp i — co jest najważniejsze — nie kryje swej metody zazdrośnie dla siebie, lecz dzieli się nią ze swymi koleżankami.

Mieczysław Czaja

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na Krajowej Naradzie przodujących hodowczyń — przez wiceministra rolnictwa prof. Mieczysława Czaję.

ROMAN KRUCZAŁA

PODSTAWA NASZYCH SUKCESÓW

Jadąc na Zjazd Kobiet — przodowniczek hodowli, czulem się mocno zażenowany swoją na nim obecnością; myślałem, że my mężczyźni nie będziemy mieli wiele na takiej naradzie do powiedzenia, nie potrafimy nawiązać serdecznego kontaktu z salą, której chcielibyśmy opowiedzieć o swoich doświadczeniach i osiągnięciach w kierowaniu gospodarstwem.

Wypowiedzi wielu kobiet pozwoliły mi zrozumieć, jak wiele my, mężczyźni, mamy do zrobienia, by pomóc kobietom w rozwijaniu i ulepszeniu hodowli. I nie tylko hodowli.

Często zapominaliśmy o tym, że krzywdzimy nasze matki, żony i siostry, traktując je jako bezpłatną siłę pomocniczą w gospodarstwie. Często, niestety walczyliśmy o to, by żona nie wychodziła z domu na zebrania, na zajęcia świetlicowe — by tylko oporządzała inwentarz i szykowała jedzenie dla rodziny.

Gdy weszliśmy na nową drogę życia, kobiety stały się współtowarzyszami naszej pracy, świadomymi, umiejętnie kierującymi życiem rodziny, podnoszącymi dobrobyt rodzinnych wsi.

Często jeszcze niestety można spotkać się z faktem lekceważenia kobiecej roboty. Zdarza się przecież, że gospodarz nie interesuje się tym, czym jego żona wykarmi przez zimę świnie, w jaki sposób utrzyma kury. Często jeszcze rolnik

zabiera wszystkich owies i siano dla konia, bo powiada — że „babka robotą nie nie znaczy”, że „na konia całego gospodarstwa stoi”. Nie wie dziwnego, że kiedy krowy wychodzą na wiosenne pastwiska, chwycią się nierzad o wiatru, bo przez całą zimę skąpo mają odpowiedniej karmy.

Cóż z tego, że kobieta przychowa cięte, troszczy się o kury i pragnie wszelkimi siłami przodować w hodowli? Wszystkie jej wysiłki rozbijają się o niezrozumienie jej zabiegów przez męża. Dlatego kobiety muszą umieć przekonać męża czy brata o konieczności zwiększenia bazy paszowej i właściwego rozplanowania wiosennych zasiewów.

Prowadzę gospodarke wspólnie z matką i siostrą; doskonale też zdaję sobie sprawę, że połowa sukcesów w gospodarce do nich należy. Ja mogę tylko przygotować rolę, zaościć ją i zasiał, dostarczyć dostateczną ilość paszy na lato i zimą — ale właściwą hodowlę może poprowadzić tylko kobieta. Dlatego praca nasza musi być wspólna, planowa, prowadzona z ołówkiem w ręku.

Obserwując wzrastającą świadomość naszych kobiet, musimy pomóc im wypełnić jak najlepiej ich doniesione zadania, pomóc w kierowaniu życiem naszej wsi.

Roman Kruczała
grom. Jażwiny, pow. Dębica,
woj. rzeszowskie

M ó w i ą k o b i e t y

KRYSTYNA NADROWSKA

LOS GROMADY W NASZYCH RĘKACH

W roku 1952 nasze Koło Gospodyń składające się z 12-tu członkiń przystąpiło do konkursu hodowlanego. Nie byliśmy wtedy jeszcze świadome wielkości tej akcji. Kiedy mówiliśmy o spodziewanych osiągnięciach, wróg podszeptował, że będziemy płacić większy podatek, co znajdowało jeszcze często posłuch. Całkiem niespodziewanie, pod koniec 1952 roku otrzymaliśmy pierwszą nagrodę powiatową. Stała się ona dla nas nie byle jakim bodźcem. Rozpoczęliśmy zebrania (może nawet zbyt często), przerabialiśmy fachowe broszurki, radząc nad podniesieniem naszej hodowli. Zapal nasz doszedł do tego stopnia, że zaprotestowali wreszcie nasi mężowie narzekając, że są pokrzywdzeni, bo nie mają wolnej chwili, skoro kobiety ciągle na zebraniach radzą...

Toteż, kiedy przyszła niedziela — ledwo zjedli obiad, już ich nie było. Żadna ludzka siła nie mogła ich odnaleźć. Uchwaliliśmy więc: Niech mają to święto, ale za to, co czwartek — zebranie kobiet i nasi mężowie muszą wtedy siedzieć z dziećmi, przygotowywać dla nich butelki i smoczki, a my spokojnie wyruszamy na zebranie. Jesteśmy już spokojne o to, że dzieciom nie dzieje się żadna krzywda, bo mężowie chętnie godzą się na taki podział zajęć — i możemy do woli dyskutować, omawiać najbardziej ważne sprawy.

W naszej świetlicy mamy radio i gazety; zbieramy się, by podzielić się spostrzeżeniami z osiągnięć hodowli, mówimy o jak najlepszym wychowaniu naszych dzieci, o wydarzeniach w domu, a więc i o tym, jak to jeszcze od czasu do czasu możemy sobie popijać, i jak temu najlepiej zaradzić.

Rok 1953. Za współzawodnictwo z sąsiednią gromadą otrzymaliśmy pierwszą nagrodę wojewódzką. Zwycięstwo to obudziło w nas nowy zapal. Postanowiliśmy ująć losy gromady w swoje ręce. Potrzebna nam była w wielu naszych kłopotach fachowa pomoc. Na przykład — musieliśmy wybudować siodło, bo mimo, że mieszkamy nad jeziorem — po wodę jeździmy do sąsiedniej gromady. Napisaliśmy list otwarty do redakcji „Głosu Olsztyńskiego”, prosząc o pomoc ekipę robotniczą.

Nie minęły dwa dni, jak zjechała do naszej wsi ciężarówka z robotnikami z jednej z olsztyńskich fabryk: — „Chciałyśmy pomocy — więc jesteśmy”. Budowali nam siodło przez dwa tygodnie.

Pamiętne pozostała nam wspólna rozmowa, niejednokrotnie do 12 w nocy. Wtedy to posypały się zobowiązania nie przymuszone i nie papierkowe: a więc cała gromada postanowiła dla uczczenia II Zjazdu podnieść wydajność pszenicy do 18 q z ha, owsa — do 17 q, żyta — do 16, buraka cukrowego do 280 q, a ziemniaków do 200 q z ha. Te dwa wspólne spędzone tygodnie były dla nas najlepszą lekcją, pomogły nam zrozumieć dla kogo prowadzimy konkurs hodowlany, dla kogo podnosimy wydajność naszych gospodarstw.

Udane przedsięwzięcie, o którym wielu przecieź wątpiło — podesunęło nam inną śmiałość. Czyżby nie pokusić się o założenie telefonu? Kilnokilometrowa odległość od miasta utrudniała nam pracę. Ponieważ wywiązałyśmy się ze swych zobowiązań skupowych — to i pocztą przysłał nam z pomocą i na nasz apel odpowiedziała w ciągu tygodnia, zakładając nam w okresie świąt telefon. A jakaż stąd ogromna korzyść — ot choćby w razie choroby naszych zwierząt możemy otrzymać natychmiastową pomoc weterynaryjną.

Nasze Koło Gospodyń ma teraz zapewniony respekt w całym powiecie. Złotymi mówią, że chłopci sami weszli babom pod pantofel. Ale tak nie jest. Szacunek mamy nie tylko za to, że pracując wykonywałyśmy plan dostaw zboża, że podnosimy poziom naszych pól i zagrod — ale za to, że zatroszczyłyśmy się o rozwój kulturalny na wsi, bowiem za pierwszą uzyskaną w konkursie hodowlanym nagrodę kupiliśmy radio i adapter dla nie istniejącej jeszcze świetlicy.

Naszą troską jest obecnie jej wybudowanie, bo brak świetlicy utrudnia pracę wszystkich organizacji, rozbiła zespoły amatorskie. Siegnęłyśmy więc do naszych „rezerw” — do uzyskanych nagród i mamy już zgromadzonych około 6.500 zł. Wyżekłyśmy się nawet nagrody w postaci maszyn do szycia, by w zamian otrzymać pieniądze lub materiał budowlany na świetlice. Do tego dolażyliśmy 500 złotych otrzymanych za wzorową hodowlę tuczników, 500 zł za hodowlę kur i dostarczenie przeszło 9 tys. jaj do punktów skup. Słowem — uzbierało się sporo i już rozpoczęłyśmy budowę upragnionej świetlicy.

Krystyna Nadrowska
grom. Górówy, pow. Hawa, woj. Olsztyn,

ANTONINA HANDZEL

Naprawiony błąd

Pamiętam lata przedwojenne. Ojciec — stary góral, oszczędzał na najdrobniejszy rzeczy, by wrócić na utraczone „gąszczostwo” zdobyć choćby najniebezpieczniejszy kawałek ziemi. Toteż kiedy z mężem — żołnierzem i Armią przyjechał na ziemię odzyskaną, nie mogłam wprost uwierzyć, że otrzymaliśmy piękne własne budynki i kilka hektarów ziemi. Postanowiłam wtedy, że dołożę wszystkich sił, aby z tej gospodarki, wydobyc wszystko, co jest możliwe.

W pierwszych latach było mi bardzo ciężko. Gospodarstwo ucierpiało w czasie potyczek frontowych; mąż był jeszcze w wojsku... Powoli zabrałam się do gospodarzenia i teraz już od trzech lat wykonuję wszystkie plany. Nie przyszło mi to łatwo, lecz sukcesy swoje zawiązałam tylko książkom. Pytałam się często sąsiadów: jedni radzili uczyć się, drudzy żę. Siegnęłam więc do źródła wiedzy — nauczyłam się kupować książki i dziś mam bibliotekę, składającą się z 300 książek rolniczych.

Biorę udział w konkursie hodowlanym już od 4-let. Miałam dobre wyniki. Lecz dopiero w tym roku zrozumiałam, że właściwie pracuję już. Przyjechało do nas kilku Ślązaków. Chodzili po wsi, oglądali gospodarstwa i mówili: „Jak to jest u was we wsi, że Handzowa osiąga tak wspaniałe rezultaty, może przekazać plan, a wy nawet do normy nie dociągacie?” — Niejeden wtedy odpowiedział, że się nie może ze mną równać, bo mam z „nieczystymi mocami” do czynienia.

To mi pozwoliło zrozumieć mój błąd: że robię wszystko, aby osiągnąć maksymalne wyniki lecz tylko sama dla siebie, nie podciągając całej wsi. I wtedy powiedziałam sobie, że dotychczasowe moje postępowanie — postępowanie członka partii — było wielkim błędem. Postanowiłam więc rozpocząć wspólną pracę z Kołem Gospodyń Wiejskich, pozyskać jak największy ich udział w konkursie hodowlanym, pomóc im w uzyskaniu dobrych wyników. Ta gruntowna zmiana moich metod pracy, zakończenie błędnego oderwania się od wsi, dało dobre rezultaty. 30 kobiet z mojej wsi otrzymało odznaki wzorowych hodowczyń.

Spotykałam się często w gromadzie z faktem, że robotę kobiecą i pracę kulturalną — oświatową traktuje się, jako coś gorszego, mniej wartościowego. Prowadzę poza Kołem Gospodyń świetlicę. Kieruję amatorskimi zespołami pieśni i tańca. Pracuję z młodzieżowymi kółkami dramatycznymi. Podczas pracy zbierałam wiele dowodów na poparcie tezy, że jeżeli wieś ma podnieść swoją gospodarkę, ulepszyć hodowlę — musi konieczne jest kształcić i zdobywać jak najwięcej fachowych wiadomości.

Pamiętam tragiczne ojcowskie słowa: — „Wiesz dlaczego chłop jest biedny? Bo głupi. A dlaczego głupi — bo biedny”.

Dziś możemy rozwiłknać to błędne koło, lecz jeżeli nie podniesiemy wsi kulturalnie — nie potrafimy skutecznie polepszyć naszych pól. Przebudować człowieka, jego sposób myślenia jest bardzo trudno; zadanie to staje przede wszystkim przed kobietami. Nie będzie zasługiwała na miano przodowniczki, jeśli nie potrafi popularyzować swoich osiągnięć, jeżeli nie będzie rozszerzać wiedzy rolniczej w całej gromadzie — jeżeli nie zobędzie swoich koleżanek dla świetlicy, dla zespołów artystycznych. Osobiste wybijanie się będzie bezwartościowe.

Organizujemy u nas zespoły czytelnicze. Ale jak? Wiemy, że chłopu ciężko jest przejść po książce, a jeszcze ciężiej ją wybrać. Przychodzimy więc na zebrania gromadzie razem z młodymi ZMP-owcami, wędrujemy od chaty do chaty i poznając życie naszych sąsiadów — dostosowujemy odpowiednie książki. Jesteśmy pewni, że je przeczytają.

Jesteśmy oboje z mężem lektorami wiedzy rolniczej. Ale pomyślałam, że nie będzie dobrze, jeżeli wykłady będzie prowadził ciągle ten sam człowiek. Poprosiliśmy więc o wykłady jednego z naszych sąsiadów. Jest młodzińcem, ale doświadczenia na swoim poletku przeprowadzał po cichu, nie dzieląc się z nikim wspaniałymi wynikami. I dopiero wtedy, kiedy zaproponowałam mu wykłady dla całej gromady, kiedy zobaczył, z jakim zainteresowaniem wszyscy go słuchali — zdradził nam tajemnicę swego poletka doświadczalnego, pokazał sposoby jego uprawy.

Mieliśmy wiele kłopotu ze świetlicą. Lokal nie wyremontowany — trudno go było ogrzać; brak światła elektrycznego utrudniał nam jakiegokolwiek zajęcia. Pomyślałam wtedy: — Po cóż siedzieć w tej zimnicy, do której przecież nikt nie chciał przyjść? I urządziliśmy się inaczej. Robimy teraz zebrania świetlicowe codziennie w domu innego sąsiada. Korzyść z tego mamy podwójną; bo i świetlicę przez ten czas wyremontujemy, sprowadzimy do niej meble i będziemy mogli na wiosnę rozpocząć normalne zebrania — lecz przede wszystkim chłopu, który niejednokrotnie wystrząsł się przyjąć do świetlicy, nie interesował się formami jej pracy, pokazujemy urok i korzyści wspólnej zebrań.

Oto kilka moich wspomnień i doświadczeń zebranych na drodze prowadzącej do przełomu w mojej gromadzie.

Antonina Handzel
wieś Łatawica, pow. Gniezno, woj. Poznań



Kostka Napierski prowadzi górali na zamek starosty czorszyńskiego.

JÓZEF TOKARCZYK

Dlaczego „Zielone gałęzie”

Dyskusja ciągnęła się w nieskończoność. Radziłyśmy nad tym, jaką sztukę powinniśmy wybrać, ażeby godnie uczcić zbliżającą się rocznicę dziesięciolecia Polskiej Ludowej. Wahałyśmy się między „Zielonymi gałęziami” Gissgesa, Jarochowskiej „Buraczanymi liśćmi” a sztuką Krapiewy „Skowronki śpiwają”.

Każdy z członków zespołu przeczytał wcześniej wszystkie trzy sztuki, aby głębiej zrozumieć ich treść, temat, występujące w niej osoby. Zespół teatralny powstał niedawno przy naszym zespole Pieśni i Tańca. Ciekawe więc jak smardowińskom i smardowiakom przypada do serca sztuka sceniczna, co o niej będą mówić, co i dlaczego wybiorą, jak będą nad nią pracować?

Jedni mówili, że powinniśmy zagrać „Buraczane liście” Jarochowskiej, a to dlatego, że autorka przedstawia w tej sztuce walkę chłopów przed wojną z wyzyskiem i obszarnikami. Większość jednak była za tym, by opracować i wystawić „Zielone gałęzie” — Gissgesa. „Zielone gałęzie” to sztuka, która porusza do głębi sprawy powstania ludu góralskiego pod wodzą Stanisława Łętowskiego.

A sprawy te żywo toczą się w umyśle młodzieży z tą walką, jaką mieszkający Smard i okoliczni gromad nie tak dawno prowadzili. Podczas niewoli niemieckiej chłopcy tych okolic niejednokrotnie organizowali się, występując przeciw Junkrom i magnaterii pruskiej.

Tak więc wybór sztuki został dokonany. Przystąpiono teraz do rzeczy najważniejszej: do obsady ról. Sprawa nie przedstawiała się tak łatwo. Każdy z chłopów pragnął być Tomkiem Walkowem, każda zaś dziewczyna widziała siebie w roli Hanksi. Spór ciągnąłby się bez końca gdyby nie czyjś głos: „Kolektyw decyduje!”

Więc tak: nie chodzi o to, która rola jest najładniejsza, ale o to, kto ją najlepiej zagra. Więc trzeba się zastanowić kto do którego bohatera jest w życiu — jako człowiek — podobny. W rezultacie rolę Tomka powierzono Tadekowi. Natomiast rolę Hanksi przypadła w udziale Wiście, właśnie narzeczonej Tadeka naprawde.

Dwie role mamy obsadzone — mówi kierowniczka zespołu nauczycielka Stefania Raslanowska. — Teraz rola Stanisława Łętowskiego. Jest to człowiek, który cieszy się wielkim autorytetem wśród górali, jest poważnym, dobrym gospodarzem, a równocześnie dobrym organizatorem. — Scharakteryzowała krótko postać Stanisława Łętowskiego. Postać tę będzie odtwarzać Edek Hajduk. Takim on jest w życiu, taki jest jego charakter.

Tak obsadzone zostały wszystkie role. Termin pierwszej próby został naznaczony za dwa dni.

Był piątek godzina 18.30 gdy weszliśmy do świetlicy, grzecznie poznaliśmy treść sztuki Jana Marii Gissgesa „Zielone gałęzie”, przeczytaliśmy także kilka prac o powstaniach chłopów w tym okresie. W miarę moich wiadomości pragnęłam pomóc młodemu zespołowi w jego pracy, nie zapominając równocześnie o pracy w zespole Pieśni i Tańca.

Byli już wszyscy. Jeszcze tylko parę minut spędzonych wspólnie



Zdobycie staroświeckiego dworu. — Malowidło na szkle wykonała ludowa artystka — Helena Roj Kozłowska z Zakopanego.

* TEZY *

PRZEDZIAJZDOWE

Sojusz

WBREW pokutującym jeszcze gdzieś „teoryjkom” powstanie spółdzielni produkcyjnej nie oznacza kresu pracy politycznej na danej wsi. Stusniej byłoby powiedzieć, że stanowi dopiero jej początek. Chłopi, którzy zdecydowali się wejść na nową drogę życia, nie zlikwidowali samym podpisaniem deklaracji wiekowych oporów, uprzedzeń, nawyków i dawnego sposobu myślenia. Nie zmniejszali się, lecz ustokrotnili nacisk wroga klasowego. Tym większego znaczenia nabiera pomoc wypróbowanego sojusznika — klasy robotniczej, a szczególnie tej przodującej jej części, która aktywnie uczestniczy w akcji ekip łączności.

*

Ubiegłej jesieni, w okresie wykopków, członkowie spółdzielni produkcyjnej w Grabowie skoncentrowali cały swój wysiłek na działkach przyzgodowych. Opiekująca się tą spółdzielnią ekipa robotnicza z Zarządu Portu Gdańsk — Gdynia, nie chcąc dopuścić do zgnicia ziemniaków, przystąpiła sama do wykopków na polach spółdzielni. Spółdzielców „reprezentowała” jedynie trzysobowa obsługa koparek.

Podobny problem stanął przed ekipą warszawskich Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych. W podopiecznej spółdzielni Broniewo Gumowskie, w pow. płońskim, groziło zginiem 90 t. ziemniaków, daremnie czekających na przebranie. Spółdzielcy nie kwapili się do tej roboty. Dnie spędzali na przebraniu i kopowaniu ziemniaków w placących wysokie danówki kulkach. Również i tu robotnicy nie dopuścili do zmarowania się mąjatką spółdzielni. Ale zrozumieć jednocześnie, że rola ekip nie sprowadza się do pomocy technicznej, że mają one przede wszystkim wielkie zadania polityczne, wychowawcze. Agitatorzy ZWUT rozeszli się więc po chałupach, wyjaśniając chłopom sens kulackiej polityki. Sukces był całkowity. Uratowano prawie wszystkie ziemniaki.

Dwa podobne przykłady — a jakże różne rezultaty. Towarzysze z Gdańska również gorąco pragną zacieśniać sojusz z chłopami, co robotnicy warszawscy. Ale podczas gdy warszawscy podnieśli świadomość spółdzielców na wyższy etap, uzbrajali ich do nowych walk, ukazywali perspektywy pracy społecznej — gdańszczanie demobilizowali słuch podopiecznych, uczyli oglądania się na innych, utrudniali cementowanie się spółdzielni i podnieśnienie świadomości członków. Jedni oddali spółdzielnię rzeczywiście przystęgu, drudzy — cofnęli ją w rozwój.

Dobra i ofarna praca ekip jest bardzo często ważnym czynnikiem sprzyjającym powstaniu spółdzielni produkcyjnej. Zdarza się jednak, że po zwycięskim zakończeniu walki o spółdzielnię ekipy poświęcają cały swój wysiłek jedynie umocnieniu samej spółdzielni, zapominając, jeśli wręcz nie mającą ręką, na resztę nie przekonanej czy uciekającej wsi. Nie ulega wątpliwości, że takie postępowanie nie tylko nie przybliża owej części wsi do gospodarki zespołowej, ale budzi goręcy i sieje zwątpienie. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że po powstaniu spółdzielni praca ekipy ze wsią indywidualną musi być jeszcze bardziej wzmożona, jeszcze bardziej różnorodna, jeszcze bardziej pomocna.

O wynikach — rzecz jasna — decyduje człowiek. Dlatego też nie można pochłaniać praktykowanego czasem przenoszenia ekipy na inny teren, w chwili, gdy w danej gromadzie dopiero co powstała lub ma powstać spółdzielnia.

Zmiana miejsca i składu ekip przeczą zresztą w ogóle samej idei tej formy łączności. Nie można zdobyć zaufania i przyjąć chłopskiej drogi rzadkich kontaktów oficjalnych. Trzeba być z nimi, dzielić ich radości i troski, nieść rzetelną i konkretną pomoc wtedy, gdy rzeczywiste jej potrzeba. Dlatego niewątpliwie słuszną jest postulat, by w skład ekip wchodziło jak najwięcej ludzi o znajomości naukowej podstaw rolnictwa. Rzecili o robotniczo-Dolnośląskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Batalionów Chłopskich w Dzierżoniowie, proponując zorganizowanie w okresie zimowym szkolenia agronomicznego i zootechnicznego dla członków ekip łączności.

Robotnicy przywożą na wieś książki fachowe, wyświetlają filmy rolnicze i popularno — naukowe, uciągają wieś do intensywnego życia oświatowego i kulturalnego. Obok dołączającej pomocy politycznej, technicznej, lekarskiej — na czoło prac ekip wysuwa się działalność kulturalno-oświatowa. Jest to zgodne ze stanowiskiem Centralnej Rady Związków Zawodowych, która uznaje ostatnio za jedno z najważniejszych zadań ekip upowszechnianie wiedzy rolniczej i ożywianie życia kulturalnego wsi.

I to jest zrozumiałe. Sojusz robotniczo — chłopski opiera się bowiem na sercach i umysłach. Na zrozumieniu i przejęciu się istotą tego, co wspólnie budujemy: państwa ludzi pracy.

Z. K.



MONIKA WARNEŃSKA

„MAZOWSZE” NA CO DZIEŃ

O Państwowym Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze” wie cała Polska. Jedni znają je „z widzenia”, to znaczy z gościnnych występów lub z filmu. Inni — a takich jest najwięcej — znają je „ze słyszenia”, czyli z „mazowszańskich” pieśni, przed kilku laty jeszcze nie znanych — dziś rozbrzmiewających w najdalszych zakątkach naszego kraju. Ale zdarza się — i to nawet dość często, że patrzymy na młodych artystów, jako na szczególnie „wybrańców losu” — lekko i beztrudno przeżywających barwny korowód wrażeń, koncertów, występów, oklasków uznania i dalekich podróży. Czy znamy jednak „Mazowsze” bliżej, na co dzień, nie tylko z estrad koncertowych?

A poznać je warto. Żeby to uczynić — sięgniemy na początek do jednego z „mazowszańskich” losów...

W odległych wspomnieniach Marysia, młodym rysm Liskę — podkrawskowa wieś rodzinna. Krajobraz Marysinego dzieciństwa — to stare, niskie, ciemne chaty Liskę, i pola rozległe, nieogarnione wzrokiem, szarymi brudami miedzy przecięte — pola, nad którymi schylały się nisko grzbiety umęczonych ludzi.

Lecz coś jeszcze pozostało z owego dzieciństwa, co utrwaliło się we wspomnieniach na zawsze: matczyne twarz, przedwcześnie postarzała w kołowiecie niekończącej się nędzy i krzywdy — i matczyne śmiech. Ledwie odrósłszy od ziemi Marysia nauczyła się roboty — i pieśni. Jakoś krótko zdawała się praca, gdy odmierzał ją rytm melodii i lżej było pisać gęsi lub za krowami chodzić, nuciąc piosenki. W bieg poranków i wieczorów wplotła się żalona, nity skarga, melodia i słowa, nawracające upartym refrenem, pamiętne długo, nawet po latach:

A pan bije,
pracuj, chłopie!
Bierz na plecy
sноп po snopie...

Kołowrót codziennej pracy nieraz wyrzynał na usta Malaszkowej skargę:

— Robota bez końca, a co z niej będzie? Co wam damy, dzieci? Uczyć by was się zdało, żebyście na ludzi wyszli, a tu na szkoły tyle grosza potrzeba...

Są obrazy, które oglądane dziecięcymi oczyma, na zawsze utrwały się w pamięci.

Po latach, kreśląc wspomnienia z dzieciństwa, Marysia napisała:

„...rodzice składali ciężko zapracowany grosz do grosza, aż wreszcie mamusi udało się uzbierać tyle pieniędzy, że na jakiś okres starszego brata można było posłać do szkoły w miasteczko. Poszedł, uczył się, ile miał siły, robił nadzwyczajne postępy. Wkrótce jednak wyczerpał się pieniądze, nie było czym zapłacić miesięcznej należności za naukę i utrzymanie — wydalili go. Placzącej matce dyrektor powiedział:

— Co wy, ludzie, panami chcecie się porobić? A kto będzie pracował na roli? Niech idzie krowy paść!

I cóż mu pozostawało? Pasał krowy, nie swoje wprawdzie tylko paski. Ja, chociaż miałam wówczas pięć lat, rozumiałam, co nas krzywdzi i od tej chwili nauczyłam się nienawidzić krzywdy...”

Okupacja. Śmierć przechodziła tuż obok rodziny Malaszków, która o mało nie padła ofiarą morderczej cyfarykacji urzędzonej przez hitlerowców.

„Szukano partyzantów — pisał Marysia — mama bała się o starszego brata. Często widziałam, jak czytał mamie jakieś ulotki. Pamiętam ich treść: „...nie długo już tak będzie, idzie Armia Czerwona, a z nią wyzwolenie!”

Dwanaście lat miała Marysia Malaszkę, gdy w pewien dzień zima — w roku 1945 ujrzała żoł-

nierzy, o których mówiły potajemnie czytane ulotki, żołnierzy niosących wolność polskiej ziemi.

Płyną inne, odmienione lata.

„...Szkół otwierano jedną po drugiej, nie pytano, czy mamy pieniądze na zapłacenie — szkoły były dla wszystkich. Rodzice moi z jednym synem zostali na wsi, czwórka nas poszła do szkoły do miasta. Kończyłam klasę szóstą, siódmą, a wreszcie dziewiątą...”

„...Dowiedziałam się, że powstaje Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Zawsze kochałam śpiew, toteż marzyłam, żeby móc wstąpić do zespołu. Złożyłam podanie, przyjęto mnie. Uczyłam się śpiewać i tańczyć. Ludowe piosenki, które śpiewałam, były już nie takie, jak z lat dziecińczych; była w nich radość i szczęście. Smutne piosenki należały już tylko do wspomnień o przeszłości, która się nigdy nie powtórzy...”

Taka sama droga przyprowadziła do „Mazowsza” męża Marysi, młodego tkacza z Wasilkowa w Białostockiem — Waldemara Kulana.

Pracowicie i niełatwe są dni „Mazowsza”. W czasie gdy zespół nie koncertuje w kraju lub za granicą, chłopcy i dziewczęta mają czas wypelniony po brzegi. Rano nauka przedmiotów zawodowych: muzyki, tańca, zagadnień pracy świetlicowej, historii muzyki i folkloru. Po południu — przedmioty ogólnokształcące: język polski, historia, matematyka... A potem aż do późnych godzin wieczornych ołna karolińskiego internetu blizszą jasnymi światłami. Ciemne i jasne głowy chłopców i dziewcząt pochylają się pilnie nad książkami...

Studium zawodowe prowadzone jest dwiema drogami. Minęły już — na szczęście — czasy, w których młodzież musiała i tańczyć i śpiewać; było to niezwykle męczące.

Dziś istnieje w „Mazowszu” grupa muzyczna — i baletowa. Grupa pierwsza poznaje zagadnienia harmonii, folkloru, śpiewu solowego, historii muzyki, gry na jakimś instrumencie („mazowszanie” przeważnie wybierają fortepian). Grupa baletowa kształci się teoretycznie i praktycznie w technice baletu, uczy się prowadzić świetlicowe zespoły pieśni i tańca. Niedługo zaś już, bo z nadchodzącą wiosną „Mazowsze” stanie się „samowystarczalną”, rozpocznie koncertować razem z własną orkiestrą. Pracowicie i pełne wysiłku są długie dni, które muszą upłynąć nim z Warszawy odjedzie w świat, w odległe strony Polski, lub za granicę pociąg — wiozący „Mazowsze” ku nowym sukcesom, rozstawiającym piękno naszego muzyki, naszego tańca i śpiewu.

Lecz dzień powszedni „Mazowsza” to nie tylko nauka. Dzień powszedni „Mazowsza” to także codzienne życie licznej gromady młodych. To nieuniknione w zbiorowisku młodzieży troski, kłopoty, trudności wychowawcze. W powszednim życiu „Mazowsza”, często można odnaleźć stronic „Poematu pedagogicznego”...

A więc — sprawa, dziś już raczej przezwyższona, dawniej przyznająca jednak niemało kłopotu wychowawcom: swoisty „zawrót głowy od sukcesów”. Trudno się było temu dziwić. Kilkunastoletni chłopcy i dziewczęta z ciężkich warunków, często z niedoli sierociego losu przetrzeni zostali w inne życie: mieszkanie, pomoc naukowa, pełne wyżywienie, ubranie... I co najwężniejsze — otworem stanęło przed nimi to, do czego się całą duszą rwali: muzyka, taniec, śpiew. Otworzyła się naocześnie przed tą utalentowaną młodzieżą droga do sztuki. Chłopcy i dziewczęta z „Mazowsza” wiedzieli, że ta droga jest

niacy występowali jako oskarżyciele ustroju kapitalistycznego; na wielu przykładach z własnego życia pokazali sobie wzajemnie, jak już daleko odbiegłszy od lat nędzy i wyzysku. Chłopi dopomogli nam w zradzonym zrywaniu szkoły i utworzyli przy tej okazji rodzaj klubu politycznego, dyskutującego zawięzanie bieżące sprawy polityczne.

Nie ma takiej wsi, choćby na oko wyglądała na najbardziej zacofaną i zapadłą, gdzie nie istniełby młodzież lub mniej uświadomieni nasi sojusznicy. Jest rzeczą nauką odkryć te siły i uruchomić.

Uruchomienie młodzieży w pracy społecznej to nie tylko odkrycie jednej z najsukceszniejszych dróg doświadczenia, to równocześnie właściwa forma walki o poziom szkoły i jej uspołecznienie.

Stanisław Wiśniewski

Nauczyciele piszą o swojej pracy

OSIEM LAT DOŚWIADCZEŃ

KIEDY u schyłku lata 1946 zobaczyłem Lucynową szkołę, ogarnęło mnie przerażenie. Zadanych urzędów szkolnych nie było; okien i drzwi również. Akt szkolny nie miał mi kto przekazać, gdyż moja poprzedniczka samowolnie opuściła szkołę.

Bez przesady byłem sam. Chłopi odwracali się ode mnie z wyraźną niechęcią. Odpowiednią opinię wyrobił mi kierownik sąsiedniej szkoły: „Przyjechał wojenny murarz wasze dzieci uczyć. Co taki umie?”

W pierwszej chwili zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej uciec. Zostałem nie tyle z przekonania, że dokonam we wsi przełomu, ile z poczucia obowiązku.

Ala jak wielu innych nauczycieli rzuconych na „zabite deski” gromady, tak i mnie przekonali dzieci, że nie jestem samotny.

Wspólnymi siłami doprowadziłem szkołę do należącego stanu. Jeszcze w 1946 roku odważyłem się na urzędzenie przedstawienia. Na naszą trzykultową sztukę pt.: „Niedorajda” zeszli się chłopcy z Lucynowa, Starej Olszyny i Szyszłowa.

W końcu roku, po akademii, która bardzo się podobała, chłopcy sami poprosili, bym pozostał w Lucynowie. Któregoś nawet dodał, że jako murarz, mógłbym poprowadzić budowę szkoły.

Postanowiłem zostać i kuć żelazo póki gorące. Lucynow nie miał biblioteki; ani gromada ani szkoła. Walkę o czytelnictwo rozpocząłem starym, znanym sposobem. Chodziłem na zabrania gromadzką, przede wszystkim zaś po chałupach i dzieliłem się wiadomościami z zakresu agrobiologii. Opowiadałem o sukcesach radzieckiego rolnictwa, gadałem z kobietami o hodowli trzody chlewniej, kur, indyków. Rezultat był taki, że chłopcy sami opodatkowali się na kupno biblioteki. Pierwsze 50 książek przywiózł osobicie do Lucynowa w 1947 roku.

Z początku chłopcy nie kwapili się do czytelnictwa.

I znowu dopomogli nam dzieci — najlepszy pomost wiodący w głąb gromadzkiego życia. Znał moją — również nauczycielka — latwo znalazła kontakt z gromadą, wtedy wciąż jeszcze bałamuconą przez podkulaczony Zarząd Gminy i księdza proboszcza. Złożyła mianowicie koło PCK i LPZ. Dzieci przeszły odpowiedni kurs i same obsługiwały punkt sanitarny PCK. Skalał się chłopcy, mogli poobierać,

zabolała go głowa lub ząb — szedł leczyć się do własnego dziecka.

Dalej wypadki potoczyły się dosyć szybko. Byli analfabeci w liczbie 118 ukończyli do r. 1950 kurs początkowego nauczania; część średniaków, członków Komitetu Rodzicielskiego, opodatkowała się dobrowolnie na rozbudowę szkoły. Za nimi ruszyła okolica.

Byli analfabeci stworzyli 2 duże zespoły czytelnice, które z kolei stały się podstawą dla zorganizowania szkoły dla pracujących. Młodzież działała w tym czasie nieustraszenie. Zdobyliśmy 1-sekcyjne w konkursie „Rolnika Polskiego” i „Przyjaciółki” za zwerbowanie 72 prenumeratorów. Gromada zaczęła na dobre rozzytywać się w prasie i literaturze.

W roku 1952 wzięliśmy w nowy etap pracy nad życiem naszej wsi. Powstał młodzieżowy zespół arty-

styczny. Kilkudziesięciu młodych śpiewaków, niewyrobionych, często strumienowych „artystów”, okazało się nie lada potęgą.

Mieliśmy określony plan oddziaływania kulturalnego i politycznego na okoliczne gromady. Dobieraliśmy taki repertuar pieśni, wierszy, krótkich sztuk, by powoli wprowadzały naszych odbiorców w problematykę życia współczesnego. Staraliśmy się najpierw pokazać piękno naszej mowy i pieśni. Głośne czytanie w przerwach między występami spełniło poważną rolę; zbliżyło chłopów do literatury klasycznej i współczesnej. Między aktami sztuki „Głupi Franek” czytaliśmy Prusa. Następnie popularyzowaliśmy kulturę Kraju Rad. W roku 1953 daliśmy kilkakrotnie dla całej okolicy sztukę „Pieją koguty”. Nastąpiła po niej seria gwałtownych dyskusji. Nasi sojusznicy, dawni analfabeci, matorolni i śred-

Niedoceniana potęga

ROLA książki w wychowaniu socjalistycznym powinna być, zwłaszcza dla nauczycieli, sprawą nie pozostawiającą najmniejszych wątpliwości.

Wysokie morale żołnierza radzieckiego w minionie wojnie i jego bezprzykładnie bohaterstwo — to rezultat wychowania obywatelskiego, w którym oddziaływały dobre książki, zajmujące najpocześniejsze miejsce. W muzeach radzieckich można oglądać „ramione” książki; świadczą one o tym, że żołnierz nie rozstawał się z nimi nawet w czasie ataku. Słuchający ruch timurowski zrodził się — jak wiadomo — pod wpływem książki Gajdara.

Przykłady te styszy się niekiedy w gronie nauczycielskim. Jakże jednak wygląda praktyka? Jak dalece postępują nauczyciele książką w walce o młodzież i szersze środowisko?

Stan czytania wiejskich nauczycieli w literaturze pedagogicznej i pięknej, zwłaszcza współczesnej — jest alarmujący. Na licznych obradach, konferencjach, w dyskusjach i rozmowach indywidualnych powoływano się aż do znużenia na znajomości Kairowa i Makarenki. Ale znajomość Makarenki sprowadzała się wyłącznie do „Poematu pedagogicznego”. Rzadko który nauczyciel potrafi wymienić nazwiska współczesnych pisarzy i ich utwory. Pytałem o

„Piątkę z ulicy Barskiej” — książkę, która powinna być polskiemu nauczycielowi szczególnie bliska. Spośród kilkudziesięciu nauczycieli nie znał jej nikt.

Charakterystyczna rzecz: wychowawca nie sięga ucale po literaturę młodzieżową, czy dziecięcą. Jakże można bez tego czytania wejść skutecznie w skomplikowany świat społeczny i estetyczny przeżyć młodzieży? W naszym powiecie częsty jest niestety taki typ nauczyciela, który wprost „nie może” czytać literatury młodzieżowej, gdyż nie odpowiada już — ona jego kwalifikacjom — naukowym. Polonista przeczyta jeszcze „Samotny biały żagiel”, ale pan matematyk, czy historyk powie, że mnie przystoi czytanie „Dzieci z Leszczynowej Górki”, czy innych „ciemnych” i „nienaukowych” książek.

Brzmi to być może zabawnie, sądzę jednak, że należy rozpocząć zorganizowaną akcję... upowszechnienia czytelnictwa wśród nauczycieli. Ministerstwo Oświaty i nasz związek powinny się tą akcją jak najszybciej zająć.

Powtórza mi jeden z kolegów: do teatru iść? Za daleko mam do pociągu. Książkę przeczytać? Toż to nie pilnego; zresztą na przyjemności nie mam czasu. Kino do nas przyjeżdża? No tak, ale wtedy mam akurat szkolenie.

Po kilku latach będziemy z niego mieli typowego nauczyciela —

„ślimaka”. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że nie umie on sobie zorganizować dnia pracy, przeżywać częstego jeszcze wygodnictwa.

Sprawa czytelnictwa nauczycieli musi wyjść na czoło naszych związkowych zadań, zwłaszcza w sekcjach kulturalno — oświatowych. Szczęść łab pracowałem w szkole wiejskiej. W tym czasie związek zdołał zorganizować jeden tylko wyjazd do opery wrocławskiej. Nie mieliśmy spotkań z pisarzami, ani jednej nauczycielskiej dyskusji nad książką, ani jednej wycieczki do Domu Kultury, przodującej biblioteki, czy szkoły. W naszym powiecie nie ma ani jednego teatru amatorskiego, a przecież w całym kraju przede wszystkim nauczyciele stoją na czele amatorskich zespołów artystycznych.

Dużo, bardzo dużo w tej dziedzinie zależy od aparatu inspekcyjnego Ministerstwa Oświaty i ZZN. Nie wystarczy sprawdzić czy nauczyciel zna cztery cechy dialektyki, trzeba sprawdzić, czy historyk przeczytał książkę Rymkiewicza „Ryccerze i ciury”, a polonista — nasze nagrodzone powieści. Podczas wyjazdów konieczne jest uszczęplanie dyskusji na temat nowości literackich i sztuk teatralnych, podsuwanie nauczycielom z dalekich wsi nowych pozycji.

Władysław Raszkowski

piękna i ciekawa, porywająca i radosna, nie wiedzieli natomiast, lub nie umieli jeszcze zrozumieć, że jest ona trudna, że talent — nawet największy, wtedy tylko wyda plon, jeśli wsparty będzie o sumienną, rzetelną pracę. Niejednemu z chłopów i niejednej z dziewcząt zawód artysty, śpiewaka czy tancerza jawił się w wyobraźni, jako szlak łatwych, efektywnych sukcesów, jako błyskotliwa kariera w stylu filmowych „gwiazd”.

Nie wszyscy wreszcie młodzi z „Mazowsza” początkowo rozumieć i odceni mogli fakt, że wielką, niezwykłą przemianę w ich dotychczasowych losach spowodowała Polska Ludowa.

Bywało, że ten i ów z „Mazowsza”, młde polechtany świadomością własnych zdolności, zamykał się w sobie i odcinał od innych murem egoizmu i lekceważenia.

Nie ma powodu przemilczać tych spraw. Stanowią one bowiem dla „Mazowsza” już etap minionych i przezwyższonych omyłek i błędów. Dla każdego zaś zespołu artystycznego stanowić mogą cenną przesłogę.

Władza ludu! Lepiej, głębiej niż dotychczas pojęli te słowa właśnie tam — w Moskwie. Z perspektywy kremlońskiego pałacu, fabryki samochodów ZIS, wspaniałych teatrów, monumentalnych wieżowców bliżej i jaśniejszy zobaczyli młodzi z Karoliny swą pracę i swą przyszłość. Zobaczyli wyraźną drogę, jaką wiodła ich od roku wyzwolenia, które nieśli Polsce ludzie zwycięstwa — ku dniom dzisiejszym. I za to wszystkim, za wyzwolenie i swobodę, za własną młodość i za umiłowaną sztukę — pieśnią pełną uroku i barwnym tańcem dziękowali ludzioru radzieckim, dziękowali Stalinowi.

I to była znowu wielka lekcja dojrzałości ideowej.

Wiosną ubiegłego roku „Mazowsze” znowu wyruszyło w świat. W podróż jeszcze piękniejszą, jeszcze ciekawszą i bardziej odległą, aniżeli wszystkie dotychczasowe: przez Związek Radziecki do Chin, a później do Mongolii.

Niejedno o tej podróży i o triumfach „Mazowsza” czytaliśmy w prasie. Lecz dziennikarskim sprawozdaniom i relacjom wymykało się zazwyczaj to, co stanowiło najbardziej istotną treść „chińskich dni” „Mazowsza”: wspaniała lekcja internacjonalizmu, jaką było spotkanie z potężnym narodem, niedawno wyzwolonym z jarzma wielowiekowego ucisku, z niesłychanym rozmachem, z entuzjazmem budującym swoją przyszłość.

Wszędzie wychodziła „Mazowszu” naprzeciw gorąca, żywiołowa serdeczność i gościnność ludzi pierwszorzaz spotykanych, w których młodzież polska znajdowała natychmiast oddanych przyjaciół. Chłopcy i dziewczęta zobaczyli piękno starej i nowej sztuki chińskiej. Widzieli nowe fabryki i zakłady przemysłowe, nowe szkoły, szpitale i placówki badawcze.

Z perspektywy szerokiego świata często widzi się jaśnie i wyraźniej najbliższe i najmlsle sercu osiągnięcia, dokonania i zdobycze.

Podczas letnich wakacji mazowszanie wzięli do swych rodzinnych wsi nie tylko egzotyczne podarunki, wrażenia i opowieści. Wzięli siłę przekonań i wiarę w słusność drogi, jaką kroczy nasz naród, umocnioną i ugruntowaną w podróżach po dalekim świecie. I kiedy na spotkanie z „mazowszaniem” schodzą się niejednokrotnie całe wsie, w serdecznych rozmowach z najbliższymi — na ich wątpliwości i zale odpowiadali celnymi argumentami agitatorów wielkiej i pięknej sprawy.

Jakie drogi otwierają się teraz przed wychowankami „Mazowsza”? Dokąd wyruszą przedstawiciele „najstarszych roczników”, którzy wkrótce poznają Karolinę?

Jedni z nich pójdą na studia wyższe, inni do teatrów i oper państwowych, ale na większość z nich czekają wiejskie świetlice i domy kultury. Przez pogadanki, odczyty, prace w zespołach artystycznych „mazowszanie” uczyć się będą — jak później, w samodzielnej pracy w „trudnych” zakątkach kraju rozpałać miłość do sztuki, do piękna, którą w nich zaszczerpił Karolin.

Wiosną „Mazowsze” wyruszy w nową podróż — tym razem po kraju. Trasa jej prowadzić będzie przez województwo rzeszowskie, lubelskie, białostockie, olsztyńskie. Usłyszymy nowe pieśni „Mazowsza”. Piękna wiosna czeka „Mazowsze”. Piękna młodość, twórcze, piękne życie czeka tych wszystkich młodych w Karolinie, którzy jak Marysia Malaszk i jej mąż, Waldemar Kulana mogą powiedzieć o sobie: „...uczynimy się i pracujemy razem, śmiało idąc w przyszłość”.

Monika Warneńska

JÓZEF PODGÓRECNZY

BIBLIOTEKA MIEJSKA A WIEŚ

N a pozór wydaje się, że biblioteki w miastach wydzielonych czy wojewódzkich nie mają możliwości współpracy z wiejskimi organizacjami masowymi, nie mogą oddziaływać na uaktywnienie wsi. Tak nie jest. Z doświadczeń Miejskiej Biblioteki w Bydgoszczy chciałbym przytoczyć kilka przykładów, w jaki sposób taka współpraca pomaga wsi w jej podnoszeniu się kulturalnym.

W większych miastach często odbywają się różne zjazdy, zebrania, narady chłopskie. Biblioteka miejska powinna porozumiewać się z organizatorami takich zgromadzeń w celu urządzania wystaw książek na sali zebrania — z eksponatami związanymi z zasadniczym referatem względnie programem zebrania.

Bibliotekarze bydgoscy obsługujący tego rodzaju wystawy zaobserwowali duże zainteresowanie uczestników zjazdów tą formą popularyzacji książki.

Warto również proponować organizatorom, by w programie obrad przeznaczili godzinę czasu na zwiedzenie miejscowej biblioteki. Chłopi bowiem chętnie poznają większe księgozbiory.

Biblioteka Miejska w Bydgoszczy prowadzi stałą wystawę posiadanych eksponatów. Od maja do grudnia ub. roku zwiedziło ją 8.039 osób, wśród nich — sporo wycieczek chłopskich (m. in. z PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych z powiatów brodnickiego, lipnowskiego, typińskiego, chełmińskiego i Tuchol-

skiego). Nie brak również wycieczek chłopów indywidualnych i wycieczek z innych województw.

W myśl uchwały IX Plenum Biblioteka Miejska poszła z książką rolniczą do zakładów pracy i hoteli robotniczych — wychodząc z założenia, że w większych z tych zakładów zatrudnieni są robotnicy, dojeżdżający ze wsi — mogący zatem stać się dobrymi propagatorami spraw, poznawanych w mieście.

W ubiegłym roku biblioteka stwierdziła, że na niektórych przedmiotach Bydgoszczy mieszkają chłopi nie objęci dotychczas konkursem czytelnictwa. Po prostu — zapomniano o nich. Do IV etapu konkursu zgłosiło się spośród nich ponad stu uczestników.

I jeszcze jeden przykład. Dyrekcja Biblioteki Miejskiej dowiedziała się, że za kilka dni w bydgoskich halach targowych nastąpi otwarcie wystawy drobiu i zwierząt futerkowych. Propozycje biblioteki włączenia się do tej wystawy, jej organizatorzy przyjęli odczywiście z zapałem. Książki wywołały duże zainteresowanie zwiedzających. Były momenty kiedy do stoiska z książkami tworzyły się ogonki. Po niedługim czasie obsługujący je kolporter przyjmował już tylko zamówienia, bo książki zostały w całości rozprzedane.

Przykłady z Bydgoszczy pokazują, że są możliwości bardzo skutecznej współpracy bibliotek wielkomiejskich ze wsią.

Józef Podgóreczny

FRANCISZEK ŚNIEG

DLACZEGO JEST ŻŁE Z CZYTELNICTWEM W NASZYCH PGR-ach?

P RACUJE w PGR-ach zespołu Ostrowiec od 1945 roku. Stale też obserwuję od czego jest zależne, żeby ziemia dawała coraz większe plony zbóż i okopowych, aby podnosiła się hodowla bydła i innego inwentarza. I widzę, że wszystko zależne jest od człowieka pracy, rolnika-hodowcy. Widzę także zależność wyników pracy od świadomości i wiedzy człowieka. Jak robotnik wzmocni swą myśl artykułami z gazety lub dobrą książką — to praca mu lepiej idzie: bo — jak mówi przysłowie — gdy się posmaruje, to się i jedzie!

Nie wszyscy jeszcze niestety, są do tego przyzwyczajeni, a co gorsza, nie wszędzie są ludzie czujący swą odpowiedzialność za tych, którzy daleko jeszcze stoją od książki, gazety, świetlicy. W naszym zespole Ostrowiec świetlice są prawie w każdym PGR. Ale czemu i komu naprawdę służą? W większości wypadków urządzone są w nich nieodpowiednie warunki, a w nich nieodpowiednie warunki do czytania. Książki — jeśli kto wypożyczy — czyta w domu, bo w świetlicach nie ma kto kierować ani zespołem czytelnictwa, ani całym zespołem kulturalnym. Brak jest stałego kierownictwa. Dorywczy zajmowanie się sprawami kulturalnymi przez pra-

cowników PGR nie wystarcza wobec olbrzymiej pracy, jaka jest do zrobienia.

W bibliotece i świetlicy w Ostrowcu znajduje się około 1500 książek. Nieetatowym kierownikiem tej biblioteki jest kol. Franciszek Kluszczyński. Niewiele chwil może on spędzić w bibliotece. Wpadnie do świetlicy, gdy ludzie przyjdą książki wymienić; a nie ma już czasu doradzić, jakie książki mają wybrać. A przecież czytelnicy chcieliby porady od kierownika biblioteki. Chcieliby też podzielić się między sobą uwagami na temat przeczytanych książek. Chcieliby sobie opowiedzieć, jakie korzyści one im dają.

Świetlice i biblioteki w naszych PGR-ach wolają o pomoc, o kierownictwo, o stałą opiekę. W zespołowych bibliotekach PGR winni być etatowi kierownicy bibliotek i świetlic, którzy by otaczali opieką również punkty biblioteczne w poszczególnych gospodarstwach. Gdyby w zespole Ostrowiec był taki kierownik biblioteki na etacie i miałby pod swoją opieką 10 czy 15 punktów bibliotecznych w gospodarstwach zespołu, to na pewno lepiej by się rozwinięło czytelnictwo. Niestety,

nie zajmują się tą sprawą ani Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, ani czynniki społeczne. Słyszysz pytanie o wszystkie inne sprawy: jak się plan wykonuje, jak hodowla idzie itp. Nie słyszysz się natomiast pytań: „Jak się u was przedstawia czytelnictwo? Jaka jest u was biblioteka?”

Ileż świetlic w naszych PGR-ach i gromadach w gminie Lejkowo jest bez okien, bez drzwi, bez troskliwego nadzoru? Nikt się o nie nie troszczy.

Oddział Kultury przy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sławnie powinien pomóc naszym gromadom i PGR-om w doprowadzeniu świetlic do porządku. Kierownictwa poszczególnych PGR-ów też mogą i powinny przyłożyć się do tego. A potem wspólnie należy zająć się: żeby świetlica przestała być tylko miejscem zebrania czy zabawy; żeby świetlice w PGR-ach stały się ośrodkami krzewienia kultury i wiedzy.

Stale kierownictwo świetlic i bibliotek w zespołach PGR-ów i ich opieką nad życiem kulturalnym w gospodarstwach zespołu posunąć z pewnością sprawę naprzód.

Franciszek Śnieg
PGR Smardzewo

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

W POWIECIE KONIŃSKIM

Drogami nie zbyt często posuwa się kolumna „Artosu”; TWP nie ściga ludzi po pracy na wykłady „O pochodzeniu człowieka” lub „Jak powstała ziemia”.

— Czy był kiedy u was literat poznański z odczytem lub wieczorem autorskim? — pytam na wszelki wypadek, bo i tak wiem, że nie było nikogo. Ale wiem ciągle jeszcze stanowczo za mało.

„Najtrudniej zbadać przyczynę”. Ta stara prawda reporterska w tym wypadku aż się rzuca w oczy. Gdzie leżą owe chorobobórzce bakyle zastój? Co sprawia, że na coraz bogatszej mapie kulturalnej naszego województwa powiat koniński strasznie wstydliwą białą plamą?

Przeziębiamy wizytę w konińskiej PRN dobrze ponad czas wyznaczony. W odpowiedziach Tadeusza Banaszaka — kierownika Oddziału Kultury PRN i Rocha Wróbla — kierownika Referatu Bibliotek, rysuje się coraz pełniejszy obraz terenu.

Świetlice. 4-ch etatowych pracowników i 72 miejsca kulturalno-społecznego życia młodzieży w granicach powiatu — to liczba teoretyczna, figurująca w sprawozdaniach. Praktycznie żywotność wielu stoi pod niepokojącym znakiem zapytania. Z owej liczby 72 pracuje 16 (5 gminnych i 11 gromadzkich); reszta żyje trochę na dziko, zdana na inicjatywę i humory GRN-ów. Weźmy np. świetlicę w Ostrowie. Gminna Rada Narodowa traktuje tam sprawy kultury lekką ręką, tzn. po prostu zapomina o nich lub nie dostrzega ich zupełnie. Stąd świetlica ulega samolikwidacji. „Na pewien czas” zawiesiła działalność — i kropka. Zespół, jeśli był jakiś, rozprószył się; teraz nowy świetlicowy ma pełne ręce roboty.

Mówi tow. Banaszak: — Mamy kłopoty z funduszami. Zie jest, jeśli w GRN Stare Miasto utonęły w budżecie pieniądze przeznaczone na sprawę świetlicy. Jest również bardzo niedobrze gdy na kontrolne podróże w teren, bądź co bądź jednego z najwęższych powiatów naszego województwa, możemy wykroić tylko 2.000 zł. Instrukcja Wojewódzkiego Wydziału Kultury wskazuje wyraźnie: 2—3 razy na tydzień odwiedzać teren. Na cel ten 5.000 zł. w skali rocznej nie byłoby za wiele.

Gdy przechodzimy do bibliotek, od razu powstaje problem: lokale w gminach Sławoszewo, Gosławice, częściowo również w gminach Młodziejów i w Grodzie; wyraźnie brak dobrej woli Prezydium GRN w dostarczaniu pomieszczeń.

Książki. Przychodzi z Wojewódzkiej Biblioteki w Poznaniu w dużych ilościach. Tytułów różnorodność wielka, byle tylko — jak twierdzą moi rozmówcy — większa była dbałość o tytuły wymienione wykazem konkursu czytelnictwa... 7.102 czytelników w IV etapie w skali powiatu — to liczba spora.

„Artos” i kino. W krótkim raporcie nie sposób zamknąć całości zagadnienia. Dlatego nie będę mówił o doborze repertuaru. Ale powiem, że dziwna jest w konińskim „polityka terenowa” tych instytucji. Do powiatu i po miasteczkach — owszem — jeżdżą się; natomiast od wschodnich rubież konińskiego zajeżdżają te instytucje niechętnie, tłumacząc się brakiem odpowiednich pomieszczeń.

Można się zgodzić, że remiza ochotniczej straży pożarnej nie zastąpi świetlic, ale czy towarzysze z „Artosu” i Wojewódzkiego Zarządu Kin zawsze robią wszystko, na co ich stać, aby żywe słowo ze sceny lub ekranu przemówiło z najbliższej odległości zakałków powiatu?

A poziom wstąpienia? Białe plamy kulturalne konińskiego i choćby tureckiego straszą, jakby tam było królestwo lwów. To znaczy: czym prędzej odwalć program — i na autobus! Są miejscowości, gdzie jeszcze nigdy towarzysze z tych placówek nie stanęli. Tymczasem ludzie tam czekają.

Znaczna odległość powiatu kaliskiego od poznańskiego centrum stwarza pewne trudności we wciągnięciu tego terenu w orbitę wpływów kulturalnych wojewódzkiego miasta.

Trzeba stwierdzić: za mało uwagi, za mało opieki, za mało pieczołowitości. Z czyjej strony?

Kto jest odpowiedzialny za obecny stan niedorozwoju kulturalnego powiatu? Czy Wydział Kultury WRN w Poznaniu robi to, na co stać te instytucje, aby pomóc powiatowi? Jak walczą PRN w Konińskim o dodatkowe kredyty? Jak wyjaśnia „Artosowi” i Wojewódzkiemu Zarządowi Kin konieczność częstych odwiedzin miejsc najbardziej pod tym względem upośledzonych? Ile razy, przy pomocy jakich argumentów i w jakiej formie zwraca uwagę województwa na palącą potrzebę kierowania tam do pracy wykwalifikowanych świetlicowych, budowy świetlic lub domów kultury? Czy „Artos” i czy Wojewódzki Zarząd Kin zjawia sprawy terenu? Czy wsiucha się w głos idący od gromad i wsi? Czy urządzą ankietę i badają oceny repertuaru, sposobu wystawiania, czasu i formy zapowiadzi widowisk?

Szczegółowa odpowiedź na te pytania nie może być dana poza ramami samokrytyki...

Józef Lenart

Przemysław Bystrzycki

MICHAŁ WARDEGA

GRN w Rybnie w trosce o kulturę...

R YBNO (w powiecie Mrągowa) ma dość zasobną gminną bibliotekę i stałe kino.

— Zachorowała bibliotekarka; leży w szpitalu. Biblioteka od kilku dni jest zamknięta. Czytelnicy się dopytują, kiedy zdołają zmienić książki.

— Nie pali się — odpowiadało pytającym w prezydium. — Zaczekać.

— Jak długo?

— Póki kierowniczka nie wyzdrowieje.

— Choroba bibliotekarki może się przedłużyć; nastąpiły podobno jakieś komplikacje...

— Nie będzie przecież wydawała książek Rada! — Kiedyś ludzie wcale nie czytali i Rybno istniało. Nie przestanie istnieć i teraz...

Mingły tygodnie. Ludzie ciągnęli do biblioteki jak do GS-u po nowym transporcie wódek. Nie mogąc się do niej dostać, zbaczali do szynki. Spotykając tam niektórych członków prezydium, zapytywali:

— Dlaczego nie otwieracie biblioteki?

— Bo bibliotekarka chora.

— Wyznaczcie więc kogoś na zastępstwo!

— Nie mamy kogo.

— Przesada! Przez kilka godzin w tygodniu mógłby „pourowdować” za nią każdy z radnych...

— Niemógł! Obowiązki nie pozwalają. Wielkie zadania stoją przed Radą. Gmina duża. Problemy zło-

żone. Troski po prostu głowę bieleją.

Szyk skupał mieszkańców Rybna co raz tłumnie. Przeprowadzane przy kieliszkach dyskusje stawały się coraz żywsze. Ostatnio nieradko kończyły się bójkami.

Zaniepokojone tym kobiety poczęły domagać się uruchomienia kina. „Skoro młodzież nie może wymienić książek, niech chodzi na najnowsze filmy” — mówiły między sobą.

Zgłoszyły się do GRN, pytały przewodniczącego:

— Kiedy wreszcie wznowicie pracę kina?

— Kiedy skończymy remont lokalu?

— Remont trwa przecież od listopada, a wcale nie widać, by zbliżał się ku końcowi...

— Mamy na głowach ważniejsze sprawy. Gmina duża. Problemy złożone. Głowy nam od trosk puchną!

— Więc kiedy wreszcie kino zostanie uruchomione?

— Czas pokaże.

Może by tak ktoś spojrzął na te sprawy z szerszą perspektywą? I wytłumaczył członkom prezydium GRN, że biblioteka i kino istnieją w Rybnie nie dla pokazu, lecz dla stałego obsługiwania publiczności.

Podobne pouczenia są prezydium bardzo potrzebne. Chociażby dla przypomnienia mu starego przysłowia — o tabakierze dla nosa.

Michał Wardęga

WŁASNOŚĆ

(Dokończenie ze str. 4)

— Przez dwa lata, do późnej nocy nieraz, rozmawiałem z nią; wstąpił do spółdzielni. Leży w łóżku, patrzy w sufit, słucha tego co mówię i myśli. Czasem sama zaczęła opowiadać o tym, jak było w czasach jej młodości. Nie było to wesołe. Ani się obezbrzy, jak w oknie pojawia się smuga brzoisku, która przypomina, że po raz zasnęła wreszcie, kognaty poranne zapęja i, jeśli to latem — słowik obudziło znowu wyciekiwać. A ty czekasz. Matka opowiada, a ty czekasz, że może już dzisiaj zdecydować się. Długo czekałem, cierniowie. Ciekło mi było nieraz, bo Kalmuk, zresztą nie tylko Kalmuk, przy byle okazji pytały:

— Kiedy Maciejewska wstąpi do spółdzielni?

I dogadywali:

— Ej Stachu, kiepski z ciebie agitator.

Wreszcie wstąpiła. Któregoś wieczoru, było to na wiosnę, siedziałem nad stawem i grałem na mandolinie. Podeszła, usiadła przy mnie i słucha.

— Co tam, mam? — pytam.

— Umyślałam — powiada — do spółdzielni wstąpić. Oddam półczwartą hektara. Co, synku?

Serce we mnie drgnęło z radości. Nazajutrz poszła na zebranie spółdzielców i poprosiła o deklarację. Wzięła pióro, aby podpisać, ale w ostatniej chwili drgnęła, wyprostowała się. — Popatrzyła po obecnych i nagle rozplakała się. Rozpacz ją ogarnęła nierozumna. Podpisywała deklarację i, żebyś ty widział, żebyś ty widział człowieka, jak ręka jej drżała, jak żył ciurkiem biegnął po twarzy, spadały na papier i rozmywały atrament.

Kalmuk wzruszył ramionami, podszedł do mnie i mówi:

— Ty, Stachu, nie całkiem do brzo przygotowałeś matkę do spółdzielni. Czemu tak płacze?

A przecież wszystko jej wyjaśniałem; tu na tej kanapie siedzieliśmy przez całe dwie niedziele ze statutu i ołówkiem w ręce. Każde zdanie rozbiierałem na wszystkie możliwe sposoby, obliczałem wszystko, co do grosza,

Przez cały tydzień chodziła jak struś. Popatrzyła na nią i coś chwyciła za serce, kleściami ścisła. Rankiem wychodziła z chaluupy. Szła do lasu, albo ścieżką nad stawem do późnego wieczoru. Brałem chleb i mleko i godzinami szukałem jej i namawiałem, żeby jadła. A ona nie, tylko milczała, a jeśli się odezwała, to powie, „idź sobie, synku!” i tyle. I szła. Zaczeli już we wsi pogadywać, że Maciejewska zwariowała, ponieważ przymusiła ją aby wstąpiła do kołchozu.

Gdy powiedziałem jej o tym, pre-stała chodzić do lasu i przesadywać nad stawem, ale do pracy nie wychodziła nadal. Przychodził przewodniczący, tłumaczył, przyszedł Więcek nasz sekretarz, ale matka nawet słuchać nie chce.

— Krwawicę moją wam oddałam, całe moje życie, czego jeszcze chcecie? Zostawcie mnie w spokoju! — powiada i znowu milczy całymi godzinami.

Na początku przeszłego tygodnia, jak zwykłe wieczorem poszła do obory i dość długo nie wracała. Zaniepokoiłem się i poszedłem zobaczyć, co robi. Otwieram wrota i wolam:

— Mam! Mam, chodźcie już wreszcie do domu!

Cisza. Słychać tylko, jak Czeremcha przeżuwa... Przestraszyłem się na dobre, bo raptiem przyszło mi na myśl, że popełniła samobójstwo. Zapaliłem zapalniczkę i w jej blasku zobaczyłem jakiś łachman leżący pod zębem. Serce podeszło mi do gardła i nie przestało bić jak oszalałe nawet wtedy, gdy przekonałem się, że to moja stara peleryna, w której pasłem Czeremchę w deszczowe dni. Potem poszedłem do przewodniczącego — mieszka tuż, niedaleko — i pytam:

— Matki mojej nie widzieliście?

— Widziałem — odpowiada spokojnie, a na twarzy ma wypieki ze zdenerwowania i jakoś dziwne się uśmiecha. — Była, ale już poszła.

— Czemu od was chciała?

— Ziemię przysłała odebrać. Powiada: zwróćcie, bo ja już nie mogę dłużej... Myślę sobie tak: jeśli kobieta ma zwariować, albo i zemrzeć z powodu spółdzielni, to le-

piej niech zabierze... Już i tak dość było kulturalnego gadania.

Tak powiedział przewodniczący, a we mnie jakby diabeł wstąpił. Podchodzę do niego z pięściami i mówię:

— Toś ty taki sukinyś — oportunist! Kulackiego gadania się boisz! Niedługo, a całą spółdzielnię rozpędzisz na czterech wiatry. Dlatego, — że kulakom się nie podoba...

— Niepotrzebnie się denerwujesz, synku! — odpowiada równie spokojnie jak przedtem — idź do domu i matkę jeszcze poagituuj. To nie jest prosta sprawa, trzeba spokoju.

Zmitygowałem się i, wdzięczny za to, że potraktował mnie tak w zrozumiale, poszedłem do domu. Wchodzę a matka stoi oparta o komin, ręce na piersi złożone i uśmiecha się tak, jakby spotkała ją największe szczęście.

Po dawnemu będziemy żyć, synku. Niech będzie gorzej, byle po dawnemu, na własnym. Byłam w przewodniczącego i prosiłam, żeby zwrócił mi uwagę. Zgodził się, jutro klacz z powrotem sprowadzimy do stajni. Z uprzejmą synku, z uprzejmą...

Nie odepierałem się. Zdziałem mandolinę z wieszaka i zacząłem grać byle co, aby tylko zagłuszyć samego siebie. Było mi żal matki, a równocześnie wzbierała we mnie gniew na jej głupotę. Nie umiałem już wyobrazić sobie innego życia, jak to, które rozpoczęliśmy tej wiosny. Gdy pomyślałem o tym, że znowu przyjdzie się kłaniać przed Muszyńskim, gorzej jakaś owładnęła mną i paliła w sercu, w gardle — wszędzie. Matka usiadła przy mnie i pogłaskała po głowie.

— Ja już nie mogłam, synku — powiedziałam. — Zdałowa mi się, że nikomu i niczemu nie jestem na świecie potrzebna, nie wiedziałam do czego się zabrać... Nie gniewaj się na matkę. Bez swego to tak, jakby człowiek gruntu pod nogami stracił, jakby w powietrzu zawisił bez skrzydeł. Zdała się, że ru-nie lada chwila. Niby wszystko wiem, tłumaczyłam, a przecież w cudze ręce zawierzyć swój los, to tak jakby własnym ręką zabrał się.

— Ludziom nie chcesz wierzyć, matko, nawet własnemu synowi nie chcesz wierzyć, swojemu rozumowi nie wierzysz również. Wierzysz sercu, a serce nieraz jest takie głupie, takie głupie! Ale ty przecież i serca

nie masz dla tego wszystkiego, co nazywasz dawnym życiem. Przecież i tobie, procy ustawicznego zginania karku przed cudzą wolą, prócz krzywdy, na którą nieraz plakałaś gorzkimi łzami, nie to życie nie przyniosło. Powiem ci, matka tylko tyle: jeżeli chcesz wszystko oddać: i tę starą, nieuledlivą dychawicę już klacz, i te hektary. Ale ty wybieraj: własność, albo ja, twój syn. Nie ma dla mnie innego życia, prócz nowego...

— Synku... — zaskala — matką ci jestem...

Ciągnął dalej:

— Dość mam odrobku u różnych Kaliszów i Muszyńskich, dosyć pozyskania zboża na przedwódkę, dosyć kłaniaania mi w pas pasibrzuchom i sukinyśnom. Ja już matko, nie potrafię karku ugiąć, gdy zasmakowałem nowego życia. I nie chce, żebyś ty, moja matka, zginała kark przed Muszyńskim. Ale jeśli chcesz żyć po staremu, to żyj, ale beze mnie. Nie będę mógł patrzeć na twoje życie i upokorzenia, ludziom w oczy nie będę mógł spojrzeć. Pójdę w świat i tyle mnie zobaczysz. Roboty dzisiaj jest dosyć, dla mnie też wystarczy. Wybieraj, mam: własność — albo ja, twój syn.

Stacho Maciejewski umilkł i patrzył w kąt izby, aby nie mógł dostrzec łez w jego oczach. Słuchałem jego opowieści z podziwem i szacunkiem. Był dobrym synem — wiedziałem o tym. Nie łatwo mu było zdobyć się na wypowiedzenie takich słów do matki. Ale chyba dlatego właśnie, że wypowiedział je, w moich oczach, urosł, był lepszy, szlachetniejszy niż dotychczas.

— Co było dalej? — spytałem cicho.

Przez chwilę milczał, aby nie zdradzić swego wzruszenia i uspokoić się. Potem dokończył:

— Jedynakiem jestem; gdybym odeszedł, zostalaby sama. Ojciec zginął w trzydziestym dziewiątym. W ogień podpalił z mną. Wybrała mnie. W dwa dni później poszła do przewodniczącego i poprosiła, aby przydzielił ją do brygady.

Wstał, zapalił lampę i powrócił do strojenia mandolin.

— Coś za długo nie przychodzi — rzekłem i wyszedłem przed dom, bowiem zdałowa mi się, że słyszę śpiew i dźwięki harmonii. Nasłuchiwałem z uwagą, ale harmonia naj-

widoczniej umilkła. Chciałem pomyśleć o Maciejewskiej i jej synu. Wcześniej był bezwzględny i spokojny. Bezhumne, granatowe niebo mieniło się tysiącami gwiazd; rozpaliła się na mgnienie wiatulka smuga spadająca okrutnie gwiazdy i zgasała nad wysokim szanem przydrożnych kłonów, ponad którymi jednym tylko rąbkiem unosił się sierp młodzieńczego księżyca. Tuż za maleńką obłąką pobliżu ciemne lustro stawu, w dno którego wbił się ostry klin złotego światła. Szedł stamtąd mój, przylgnął zapach kaczek i rechat zab. Usilowałem przypomnieć sobie, gdzie już widziałem taki, albo zupełnie podobny temu krajobraz, gdy ujrzałem grupę ludzi na drodze. Od grupy, oddalony się jeden człowiek i szurając butami po żwirze szedł ku domowi Maciejewskich. Po dużej, kołyszącej się jak w tańcu sylwetce poznałem Kalmuk. Harmonia zawieszona na ramionach odzyskała się przy każdym niemal kroku cieniutkim dźwiękiem. Ujrzawszy go, wszedłem do izby. Chwilę później wszedł i on. Stał w progu, szeroko otworzywszy drzwi i krzyknął pół żartem, pół serio:

— Bumelant! Zapowietrzona bumelant!

— Nie drzyj się, Kalmuk — odciął Stacho.

— Jak się mam nie drzyć, kiedy tam wszyscy na was czekają.

— A ja na matkę czekam. Jak matka przyjdzie, wtedy pójdę.

Kalmuk zaśmiał się wesoło, jakby ustyśzał dobry żart.

— A twoja matka myśli, taka jak ty? — chichotał. — Ona tam z młodymi czeka na ciebie. Sama powiedziała, żebyś cię poszedł zawołał.

— Liesz! — krzyknął Stacho, a na twarzy jego pojawił się dobry, przepraszający uśmiech. — Liesz! — powtórzył, podszedł do Kalmuka i trącił go w bok. — Czemu liesz?

— Głowie utnij, nie lż — z powagą odparł Kalmuk i zamiast w pierś, uderzył pięścią w harmonię.

Stacho z tym samym uśmiechem z jakim powiedział „liesz” wziął mandolinę, zgasił światło i zamknął dom na klódkę. Potem Kalmuk rozciągnął harmonię, Stacho trącił struny, a wszyscy trzej podjęliśmy pieśń.

Józef Lenart

Przemysław Bystrzycki

„Z lat, które nie wróca”

PODLASIE W SZPONACH GŁODU

„Z Podlasia dochodzą do nas wieści bardzo ponure. Choć zima jeszcze nie skończona, w wielu wsiach sytuacja przypomina już nie tylko przednówek, lecz po prostu głód w całej jego potworności i grozie. Są na Podlasiu wsie, w których dzieci od jesieni nie chodzą do szkół z braku obuwia. Zwykłą rzeczą jest tam jedna para zniszczonego obuwia na czworo dzieci! O pomocach szkolnych, nawet takich jak zeszyty, pióra i ołówki, nie ma mowy! Ubranie ciepłe jest istną karykaturą tego, co się zwać tym mianem winno. Odżywianie się fatalne. Od marca w wielu chatach nie ma ani żdźbła ziarna, ani maki. Jeszcze dobrze, jeśli gdzie pozostało nieco ziemniaków, wydzielanych bardzo skąpo, aby jak najdłużej mogły wystarczyć. Tłuszcz należy do legendy! Bogata w sól Polska dla ubogich Podlasiaków nie ma fey zupełnie, sól bowiem jest dla ludzi w niektórych okęgach niedostępna... Dochodzą z Podlasia głosy rozpacz, wołające o ratunek dla dzieci...”

(„Kurier Warszawski” 29 marca 1938 r.)

WYMOWNY ZNAK NĘDZY

„Chłopi powiatu jaworowskiego w Małopolsce podjęli oryginalną inicjatywę. Założyli „Bractwo Jednego Ziemniaka”. Cóż to za dziwaczne gody: ziemniak?

Otóż każda z parafii jaworowskich prowadzi listę najbardziej potrzebujących i głodujących. Dzieci i młodzież okoliczna uczą się codziennie zbiorów wśród ludności. Składkę stanowi... jeden ziemniak dziennie!

Miesięczna ofiara wynosi więc 30 ziemniaków. Zdarza się też niekiedy, że przy sposobności ktoś ofiaruje więcej: młarkę, maki, podniszczone już obuwie, czy odzież.

Zebrane zasoby rozdziela „Bractwo Jednego Ziemniaka” między głodujących — i znów młodzież roznośi ziemniaczane ofiary po wsiach i chatkach.

„Bractwo Jednego Ziemniaka” — to zjawisko smutne. Zbiórka po jednym ziemniaku: czyż trzeba wymowniejszego znaku nędzy, gnębiącej wsi?”

(„Express Poranny” 4 maja 1935 r.)

ZIEMNIANKI I CUKIERKI

„Do pewnej wsi przybył gość ze stolicy. Gromadkę dzieci, które go otoczyły, obdarzył cukierkami. Połyszał wówczas — jakże wymowną uwagę starszej wieśniaczki:

— Podziękujcie pięknie, a na drugi raz niech pan dzieciom po kilka ziemniaków przywiezie, to będzie większa uciecha.

Takiej uciechy bowiem wiele wiejskich dzieci w Polsce dawno nie doznało...”

(„Express Poranny” 5 lipca 1935 r.)

LEPIEJ BYŁO BYĆ PSEM!

„Właścicielka niewielkiej posiadłości w Celestynowie, pani Brzezińska, chowa sobie 15 psów.

Zyją one tak, jak nie może żyć wielu ludzi, ciężko pracujących na kawałek chleba.

Psie menu przedstawia się następująco: biała kawa, jajecznicza, chleb ze smalcem i zupa na zęberkach. Potem sódka drzemka w wygodnym, miękkim łóżeczku.

Równocześnie dziecko pracownicy p. Brzezińskiej śpi na gołej ziemi. Bardzo często jest głodne i podbiera jedzenie psom. Dla niego nie ma ani białej kawy, ani jajeczniczy, lub choćby zupy na zęberkach.

Podobne objawy zwyrodnienia uczuć spotyka się nierazko.

Rozmaitości dzwicy, a zwłaszcza zdziczałe stare panny, zapisują niekiedy całe majątki na luksusowe przytulki dla zwierząt lub ustanawiają dożywocie dla osieroconych pupiliów, wówczas gdy setki i tysiące dzieci błagają się po ulicach i przysmierzają głodem!”

(„Express Poranny” 31 sierpnia 1935 r.)

ZA CHLEBEM DO OBCYCH

„Nasza wielka Ojczyzna nie potrafi, niestety, wykarmić wszystkich swoich dzieci. Muszą one porzucić ojczyznę i szukać chleba u obcych, nie zawsze go zresztą znajdując.

W czerwcu 1936 roku wyemigrowało z Polski 2.440 osób...”

(„Express Poranny” 26 sierpnia 1936 r.)

Wybrał ARCHIWISTA

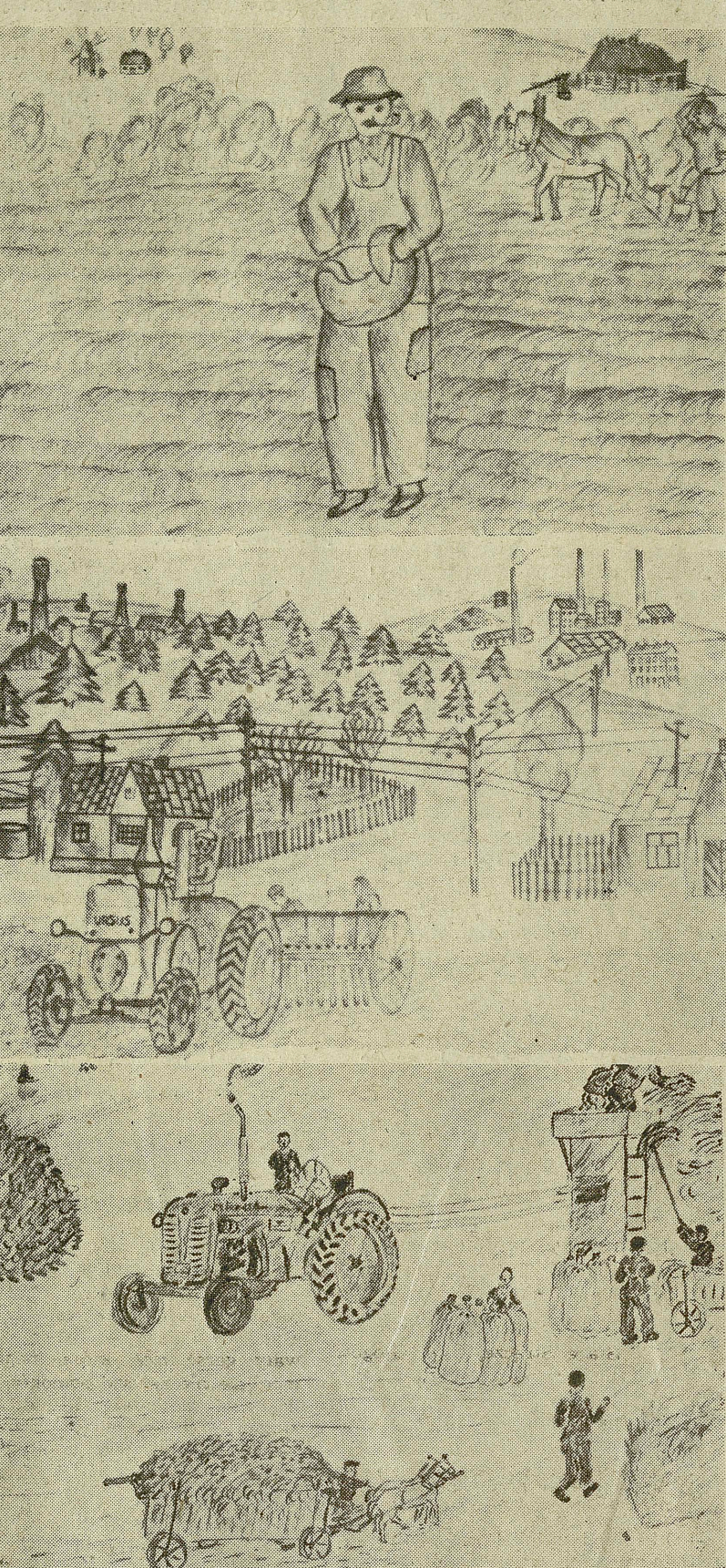
Czy podane wyżej fakty nie przypominają Wam, drodzy Czytelnicy, podobnych wydarzeń, których byliście świadkami, lub o których słyszeć mieliście? Jeżeli tak, to opiszcie je w liście do nas, wskazując w miarę możliwości, jakie są losy biorących w nich udział postaci w latach powojennych w ludowym państwie.

Czekamy na Wasze wypowiedzi, z których ciekawszemu wydrukujemy w naszym piśmie.

(RED.)

OD WCZORAJ DO DZIŚ

Rysunki o powyższej tematyce wykonała Maria Poręba, 16-letnia dziewczyna ze wsi Gądky w powiecie Jasło. Jedynie pierwszy rysunek przypomina dawnego rolnika z płachtą z ziarnem siewnym i starą wieś z rozpadającymi się starościami chatkami. Dwa następne — pokazują pracę maszyn rolniczych w gospodarstwach chłopskich, odmienione życie podgórskiej wioski. Maria Poręba jest jedną z organizatorek świetlicy w Gądkach; obecnie skupia wokół siebie młode dziewczęta ze swojej wsi Zofię Gruszkę, Marię Bazyk i wspólnie z nimi rysuje aby wykonanymi pracami ozdobić gądkowską świetlicę. Warto, aby i inni twórcy ludowi pomyśleli o powiązaniu się ze świetlicą, domem kultury — podnieśli i przyczynili w ten sposób jej wnętrzu a jednocześnie zdobyli dla siebie do rysowania nowe tematy.



(Na podstawie listu zbiorowego ZMP-owców z Samoleży).

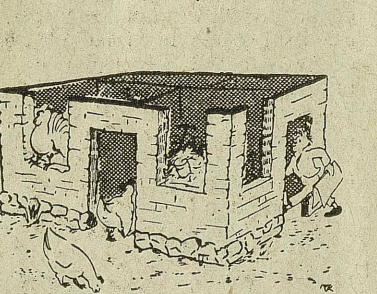
Gazetka gminna

POŻYTECZNA ŚWIE TLICA

Czy nie wybudowana świetlica może wypełniać poważną rolę w życiu gromady? Głównie daje, że wszyscy nasi czytelnicy, powiedzieli nie.

A właśnie, że tak. Po odpowiednim przykładzie do gromady Samoleż, gm. Wronki, pow. Szamotyły. Jakby nie było od 1949 roku buduje się tam świetlicę. Jak dotąd podciągnięto tylko mury, a przecież mimo braku sufitu, dachu, komina, okien, podłogi i drzwi — świetlica spełnia nie byle jakie zadania.

Przed wszystkim oddziałuje pozytywnie na hodowlę kur. Nie wierzyli? Znajdźcie między mury. A ktoż sobie tam urządził wzorowy kurnik, jeżeli nie ob. Jan Szymborski?



(Na podstawie listu zbiorowego ZMP-owców z Samoleży).

KOMPLEKSOWA ELEKTRYFIKACJA

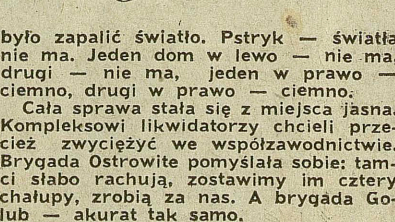
Kiedy gromada Podzamek Golubski, gm. Golub, pow. Wąbrzeźno, złożyła podanie o elektryfikację, planisci z elektrowni w Golubie aż ręce zatarli z uciechy.

— Nareszcie będzie można przystąpić do kompleksowej likwidacji ciemności! — A coż to takiego — owa kompleksowa likwidacja ciemności? Chwilczkę, zaraz będzie wiadomo.

Ciemność — to straszny wróg światła, postępu i kultury. Łatwo nie ustępuje. Trzeba go brnąć dwa ognie, gwałtownie zaatakować, wtedy może ustąpić. Trudno doprawdy o lepszą okazję w wypadku Podzamek Golubskiego.

Zrobi się tak: od strony zelektryfikowanej gromady Ostrowite podciągnie się szybko linie do połowy Podzamek, od strony Goluba — drugą linie do pozostałej części gromady. W ten sposób ciemność dostanie się we dwa ognie i marnie zginie. A przy tej okazji można urządzić miłe widziane przez władze — urządź wodociąg.

Tak się też po części stało. Obie brygady ruszyły. Jak to powiadają — z kopyta, szybko dotarły do kranów wsi, wdarły się do środka i tego samego dnia, o jednej godzinie ogłoszono wykonanie zadania. Komu przyznać pierwszeństwo? Oto zadanie dla specjalnej komisji, która zasiadła do obrad w samym środku wsi, żeby uchronić się od stronniczości. A, że był wieczór — trzeba



(Na podstawie listu chłopca z Podzamek, pobawionego światła w sposób kompleksowy).

JAN SKALSKI

PORÓWNIANIA

Przypomnijmy sobie życie polskiej wsi w latach przedwojennych: czasy „hustawicy cen” na produkty rolnicze, kłeski bezrobocia, obskurantyzmu i ciemnoty. Do wielomilionowych mas chłopskich nie docierały wtedy ani służba zdrowia, ani kultura, ani oświata. Krótko: przed wojną o wsi pamiętamy u nas tylko dwory potrzebujące darmowej siły roboczej, urzędy skarbowe, lichwiarstwo. W „sferach rządowych” myślały o niej jedynie władze bezpieczeństwa, kiedy dochodziły do nich pomruki chłopskich buntów.

Po odrodzeniu się państwa jednym z głównych zadań, jakie od pierwszych dni swego istnienia nakreśliła sobie władza ludowa, było stworzenie wsi takich warunków, by mogła ona rozkwitać. Nawet olbrzymie trudności, jakie kraj pokonywał w pierwszych latach po wojnie, nie osłabiły troski państwa o rozwój rolnictwa. Szerokim strumieniem płynęła na wieś pomoc władzy ludowej w odbudowie zniszczonych gospodarstw, w zaopatrzeniu ich w inwentarz, w dostarczaniu nawozów sztucznych. Rząd dawał kredyty i organizował służbę rolną, upowszechniał oświatę i otwierał ośrodki zdrowia, zakładał POM-y i GOM-y i rozbudowywał placówki kulturalne.

Wszystko to zapewniło Polsce Ludowej osiągnięcie ogromnego dorobku na wsi. W minionym dziesięcioleciu w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach, w gromadach i wśród terenowego aktywu społecznego — wyrósł wspaniały ludzie. Toczył on dzisiaj wytrwałą walkę o socjalistyczną drogę do dobrobytu i kultury, do życia wypełnionego twórczym poszukiwaniem nowych metod gospodarowania. Takich metod, które pozwoliłyby wydatnie zmniejszyć w pracy na roli wysiłek ludzki.

Ostatnia uchwała Rady w sprawie pomocy kredytowej dla pracujących chłopów jest nowym dowodem dążeń władzy ludowej do szybkiego gospodarczego i kulturalnego podniesienia wsi.

Założeniem tej uchwały są dwa cele: zwiększenie produkcji rolnej i stworzenie chłopstwu pracującemu wielokrotnie większych możliwości życiowych.

Wież polska posiada olbrzymie nie wykorzystywane dotychczas bogactwa. Nie rozwinęło się jeszcze w naszych gromadach pszczelarstwo i sadownictwo. Nie ma w nich urzędów inspekcyjnych, zapewniających chłopom wysokie dochody za wcześniejsze warzywa. Nie został dotychczas upowszechniony dorobek naszych mierzurników, wykazujący na konkretnych przykładach, że gospodarka rolna w Polsce może zapewnić obfitość produktów całemu krajowi.

W zwiększaniu plonów, w odwadnianiu moczarów, w uprawach ro-

ślin przemysłowych i leczniczych, we wprowadzaniu nowych odmian traw i zbóż, w upowszechnianiu wiedzy agrotechnicznej i zootechnicznej — tkwią niekńięte dotychczas bogactwa polskiej wsi.

Aby te bogactwa mogły być przez wieś wykorzystywane, władza ludowa udziela jej kredytów na podniesienie gospodarki rolnej do poziomu osiąganego przez rolnictwo produkujących krajów na świecie. Przeznacza więc poważne sumy na meliorację łąk i pastwisk, na likwidację resztek odłogów, na rozwój hodowli, rozbudowę gospodarstw i urządzenia podnoszące ich wydajność.

15 tys. złotych kredytu może otrzymać każde gospodarstwo na hektar plantacji chmielu, 10 tys. złotych na odbudowę szklarni, 3 tys. złotych na założenie inspektów, 3 tys. złotych na hektar upraw wieloletnich.

O czym mówią te cyfry?

Państwo oczywiście pragnie zapewnić obfitość produktów rolnych na rynku. Ale wiąże z tym nierozłączne dążenie do stworzenia takich gospodarstw na wsi, które by wysoko podnosiły opłacalność pracy ludzkiej, czyniąc równocześnie trud chłopski lżejszym.

W omawianej uchwale Rady szczególnie wymowne mają kredyty na budowę studni, na wznoszenie nowych budynków, na zakup krow, na zakładanie gospodarstw pszczołarskich. Znalazła tu piękny wyraz troska o człowieka — o wyższy poziom jego życia.

Należy tu podkreślić jeszcze jedno: Wszystkie kredyty są długoterminowe — o bardzo niskim oprocentowaniu. Stwarzają więc całkiem dozorowemu chłopu warunki do uporządkowania zagospodarowania wsi.

Rozpoczynamy realizację wielkich zadań na wsi. Obok pomocy na zagospodarowanie — otrzymuje ona nieustanną pomoc państwa w upowszechnianiu wiedzy, kultury, mechanizacji pracy na roli. Powstają w gromadach świetlice i biblioteki. Otwierane są kina i domy kultury. Coraz częściej goszczą w nich teatry wojewódzkie. Rozwija się czytelnictwo. Wzrasta liczba POM-ów i GOM-ów. Rozpoczynają pracę na wsi rolnicy naukowcy.

Mimo woli nasuwają się porównania: wsi przedwojennej — i wsi naszych czasów. Wsi wyniszczanej bezrobociem, wyzyskiwanej przez obszarnika, tonącej w ciemnocie — ze wsią otoczoną opieką władzy ludowej, zagospodarowującą się według wskazań nauki rolniczej, podnoszącą swój dobrobyt, rozwijającą się kulturalnie.

Wielkie zmiany zaszły w ostatnim dziesięcioleciu na wsi. A praca nad jej podniesieniem — stale zwiększana — obejmuje coraz szersze odłinki życia.

Idziemy ku nowej, szczęśliwej wsi, Stanisław Ziemia

W. BACHNOW I J. KOSTIUKOWSKI

HISTORIA CHOROBY

Z oczyma miał Siemionycz wielki kram, wzrok mu się psuł, mógł nagle wpaść w ślepotę...

A kiedy to zaczęło się, nie sam?

nie spostrzegł, wygniatając miękki fotel.

Choroba po cichutku doń się pcha.

Początek jej zwyciężajmy trybem idzie:

Już w poczekalni ludzie tydzień, dwa czekał — każdy sprawę pilną ma,

a on, przedstawiciele, nie nie widzi...

Kupiono radio dla świetlicy. Leczą kierownik wziął je, zapakował, zaniósł,

jak wam się zdaje, dokąd? —

Wielka rzecz!

Siemionycz ma je w pięknym swym mieszkaniu.

Wieczorem,

zwykle po kolacji już, audycji słucha... Tak mu mija tydzień.

A to, że radio jest nie jego, coż?

Ze świetlicy? —

Tego już nie widzi.

Z dnia na dzień się pogarsza jego stan,

ślepoty widać groźne już objawy:

bo oto, proszę:

w biurze jakiś pan

nieznany mu zupełnie, nieciekawo,

by sprawą jak najkrócej miała trwać,

osiemnieli się zegarek jemu dać...

Siemionycz wziął. To ludzka przecież rzecz

pomagać człowiekowi, gdy jest w bidge.

Ze prezent jest wspaniały — dojrzał, lecz

że to łapówka —

tego już nie widział.

Najgrubsze nawet nie pomaga szkło.

Siemionycz ślepie. Mówiąc tu nawiasem

czy własna czy państwowa forsą to,

zagarnia bez skrupułów... Płacze kasę...

Ślepotą zgubi Siemionycza. Coż,

widomo, że gdy całkiem wzrok utraci,

w fotelu miękkiem nie zasiądzie już

i swego gabinetu nie zobaczy.

Przełożył z rosyjskiego Włodzimierz Boruński

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.
Telefony: Red. Nacz. 363-86, Redakcji 870-61, redakcji 13, 42, 70.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7.

Warunki prenumeraty:
mies. — 4,80 zł, kwartał — 13,80 zł, półrocznik — 27,60 zł, rocznik — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 5-B-11486

KRONIKA KULTURALNA

Nie wszystkie świetlice wiejskie potrafią w pracy kulturalno-oświatowej i masowo-politycznej łączyć zagadnienia ogólnokrajowe z naszymi warunkami, ze środowiskiem, w którym pracują i wykorzystują w agitaacji politycznej w terenie.

Odnosi się to szczególnie do postępów w rewolucyjnej tradycji wsi chłopskiej, zwłaszcza w okresie, gdy Polska rządząca sanacyjna klika kapitalistyczno-obszarnicza.

Największe nasilenie tych walk, którym kierowała PPS, przypada na lata 1937. Opis ich przebiegu, analizę podjęła, na którym wyrosły czynniki, które je wywołały, wreszcie nauki, jakie wyciągnęły z nich pracujące chłopstwo, daje ciekawą, nienasyczoną bogactwem faktów, broszurka wydana przez Wydział Historii Partii KC PZPR w opracowaniu Adama Bandosa pt. „Walki chłopskie 1937 roku”.

Polecamy wszystkim świetlicom tę cenną, prosto napisaną broszurkę. Pomimo ona w wyłożeniu pogadanki, przypomni sanacyjne czasy, ułatwi zrozumienie naszego położenia, którym dokonano pracujących chłopstwa, razem z klasą robotniczą naszego kraju.

W wiejskiej kulturze oświatowej województwa zielonogórskiego szczególnie wyróżnił się w podejmowaniu zobowiązań przedziadkowych. Wiele z nich zostało już zrealizowanych. Tak np. wyremontowano w powiecie gospodarstw kilkanaście świetlic, zorganizowano kilkadziesiąt koleś samokształceniowych i wiele zespołów świetlicowych.

Dzięki zobowiązaniom podjętym przez aktywny świetlicy gromadzkiej ZSC w Chociejewie (pow. Gubin) znacznie ożywiła się praca tamtejszej świetlicy, wyremontowanej ostatnio sposobem gospodarstwowym. Nowopowstałe w świetlicy oświatowej zespoły: czytelniczy, kulturalny i propagandowy zaczęły już pracę. Do świetlicy w Chociejewie przychodzą niemal wszyscy mieszkańcy.

Świetlice gromadzkie w Górkach Noteckich (pow. Strzelce), realizując podjęte zobowiązanie, zorganizowała kilkunastoosobową kapelę ludową i zespół propagandowy, który pracować będzie nad upowszechnieniem osiągnięć spółdzielczości produkcyjnej na terenie powiatu. Aktywny wiejski Dom Kultury w Kurowie przekroczył o 50 proc. podjęte zobowiązanie w werbowaniu uczestników IV etapu konkursu Czytelniczego. W wykonywaniu podejmowanych zobowiązań produkuje szczególnie młodzi wiejskie.

W powiecie siedleckim stale wzrasta zainteresowanie chłopów zakładaniem rolniczych. Wskazuje na to rosnąca z każdym dniem liczba koleś samokształceniowych, których jest obecnie 33, podczas gdy roku ubiegłym było ich tylko 18. Kolejne są systematycznie ośsiugiwane przez 48 lektorów powiatowych. Na przeprowadzanie przez nich wykłady i pogadanki przychodzi coraz więcej chłopów. Szczególne zainteresowanie wzbudzały wykłady, które uzupełniały się filmem lub przezroczami. Np. na szkoleniu rolniczym w gminie Mokobody frekwencja wynosiła stale od 150—200 chłopów. W roku bieżącym są możliwości rolnicze prowadzone były w 160 gromadach powiatu siedleckiego. Kierować nim będą zespoły składające się z produkujących chłopów oraz gromadzkich organizacji polityczno-społecznych. Wzrost samokształcenia rolniczego wpłynął w znacznym stopniu na zwiększenie prenumerat pism rolniczych. Obecnie liczba prenumeratów „Flonu” i „Młodej Rolnicy Rolnika” wynosi w powiecie siedleckim 11 tysięcy egzemplarzy.

W roku ubiegłym na terenie województwa koszańskiego działało 99 rolniczych ekip łączności miasta ze wsią z 87 koszańskich zakładów pracy. Zorganizowały one w ramach ruchu łączności 1163 wyjazdy do spółdzielni produkcyjnych, PGR i indywidualnych gromad woj. koszańskiego. Ekipy te nawiązały szereg kontaktów z ludnością wiejską, niosąc jej pomoc i radę w sprawach ogólnogromadzkich i osobistych. Rolnicze zespoły artystyczne zorganizowały 371 występów artystycznych w gromadach wiejskich, przyczyniając się zarazem do ożywienia ruchu amatorsko-artystycznego na wsi. Służyły one także większym zespołom amatorskim pomocą instrukcyjną i metodyczną. Nie wszystkie ekipy wyjechały do terenów koszańskich. Agitatorzy ekip wylosili około 900 pogadek na temat aktualnych zagadnień z polityki krajowej i międzynarodowej oraz zagadnień rolnych. Ponad 150 rolniczych byłąg remonowanych, działających na terenie województwa, udzieliło chłopom pracującym znacznej pomocy fachowej. M. in. ekipy wyremontowały setki maszyn rolniczych. Poza tym na terenie województwa koszańskiego działało w roku ubiegłym 15 ekip lekarzy, które wydane przyczyniły się do podniesienia zdrowotności i stanu higienicznego wsi koszańskiej. W ramach ruchu łączności miasta ze wsią powinny wykazywać więcej inicjatywy świetlice wiejskie. Do nich przecież należy przygotowanie lokalnych zespołów wiejskich, przydzielanie ekipy. One także powinny zwracać się do zakładów pracy, o skierowanie ekipy rolniczej w wypadku, gdy gromada jest przez nie omiata.

W ramach ruchu łączności miasta ze wsią powinny wykazywać więcej inicjatywy świetlice wiejskie. Do nich przecież należy przygotowanie lokalnych zespołów wiejskich, przydzielanie ekipy. One także powinny zwracać się do zakładów pracy, o skierowanie ekipy rolniczej w wypadku, gdy gromada jest przez nie omiata.

Ostatnio w gromadzie Rajca (pow. Żywiec) odbył się pierwszy naradarski rad chłopski, zorganizowany przez ZSC dia uczenia II Zjazdu PZPR. W radzie tym uczestniczyło 188 drużyn, uczestniczyły na mecie powiatowej przez tłumy mieszkańców z okolicznych gromad. W wielu gromadach zorganizowano kulgii, poprzedzone pamiątkami i kapelami ludowymi. Przyleciały one do Rajca w kilkanaście sekund wraz z delegacjami robotników z okolicznych fabryk i zakładów pracy. Dla uczestników radu zorganizowano kermasz oraz wiele innych atrakcji, jak pokazy skoków narciarskich itp.

Przedstawiciele poszczególnych gromad, spółdzielni produkcyjnych i Państwowych Gospodarstw Rolnych złożyli w czasie radu meldunki o realizacji zobowiązań podjętych w celu uczenia II Zjazdu Partii. Szczególnie entuzjastycznie została powitana drużyna kobieca pod kierownictwem Antoniny Kocen, która zameldowała, że przywiozła ze sobą 38 dalszych zgłoszeń gospodyń wiejskich w konkursie hodowlanym.

Aktywność kulturalno-oświatową woj. zielonogórskiego szczególnie wyróżnił się w podejmowaniu zobowiązań przedziadkowych. Wiele z nich zostało już zrealizowanych. W ramach tych zobowiązań wyremontowano sposobem gospodarstwowym kilkanaście świetlic, zorganizowano kilkadziesiąt koleś samokształceniowych i innych zespołów świetlicowych.

Nowopowstałe w świetlicy w Maciejowie zespoły czytelniczy, kulturalny i propagandowy zaczęły już pracę. Do świetlicy w Maciejowie przychodzą niemal wszyscy mieszkańcy wsi.

Świetlice gromadzkie w Górkach Noteckich (pow. Strzelce) realizując podjęte zobowiązanie, zorganizowała kilkunastoosobową kapelę ludową i zespół propagandowy, który pracować będzie nad upowszechnieniem osiągnięć spółdzielczości produkcyjnej na terenie pow. strzeleckiego.

Aktywny wiejski Dom Kultury w Kurowie przekroczył o 50 proc. podjęte zobowiązanie w werbowaniu uczestników IV etapu konkursu Czytelniczego. W wykonywaniu podejmowanych zobowiązań produkuje szczególnie młodzi wiejskie.

Przykłady te winny zachęcać świetlice, w których realizacja zobowiązań przedziadkowych przebiega opieszale.